

VariArt

pismo kulturalno-literackie
nr 1/2014



Anna Rau

FOTOMONTER

Dobra robota.

Szczurołap z Hammeln zagwizdał ulubioną frazę i rozejrzał się zadowolony. Otaczała go symfonia dysharmonii: wokół – z budynków na Starym Mieście Allenstein – nie pozostał kamień na kamieniu. Jakiś czas temu... Kiedy to było? Zresztą ludzki – ani żaden inny – czas go nie dotyczy. Tak czy inaczej jakiś czas temu po wyprowadzeniu z jasných murów niemieckiego Hammeln najpierw rozzuchwalonych szczurów, potem zaś oczarowanych dziwną, dysonansową muzyką dzieci i po odstawieniu ich do wiecznego magazynu z mięsem, jak to nazywał – wrócił w świat jak zawsze. Odwiedził wiele miast. Właściwie to jest pewien, że wszystkie. Tam, gdzie dotąd nie był, pewnie wkrótce będzie. Niniwa była taka piękna... Babilon i jego mityczne ogrody... Trochę przereklamowane, ale efektowne – owszem, owszem. Ludziki i ich upodobanie do ślicznych ogródków! – parsknął śmiechem, ale po chwili się opanował. Miał recital w Ilionie, w Tenochtitlan, w Tikal i w Machu Picchu. Rzym – ach, z jaką finezją wprowadził tam hordy barbarzyńców! Akka – ostatni bastion rycerzy... Złoty Konstantynopol z jego bajecznymi wieżami. Słodko było we Francji zagrać pod Bastylią. A jeszcze piękniej w Petersburgu! Ha! Aż wreszcie trafił tutaj, w centrum jakichś małych zielonych Prus Wschodnich, do jakiejś małej zielonej stolicy. Do miasta, które miało nadzieję ocaleć, pozostając aż tego stycznia prawie nienaruszone. Tak nie mogło być – to by było niezabawne. Teraz otaczały go osmalone ściany, ostrosłupy pozostałości dachów, szczyrby bruku, otwory okien. Ogromny potencjał. Morze zgłiszcz, w którym tak lubił pływać. Oczywiście nie skosił wszystkiego. Sterczały też wieże jakichś kościołów, jakiś ratusz, jakieś domy, jakiś zamek. Ale serce miasta zostało elegancko unicestwione. Piękna akcja: zagrał na swoim słynnym instrumencie i wyprowadził stąd w zgodzie ze swoją fantazją to, co było zorganizowane i zastane: ludzi porozumiewających się gardłową mową niemiecką, całymi kolumnami, zwierzęta, rośliny – kikuty pni i trupy świadkami – oraz nawet kolor nieba. Teraz było krwawo-sine. Zresztą sam styczeń, ostry bardzo, wspaniale mu sprzyjał.



Procesja – Olsztyn, 1946 r.

*Fot. ze zbiorów WBP w Olsztynie (z dokumentów życia społecznego).
Dar Ryszarda Sternika*

Czuł zadowolenie. Rzadko czuł zadowolenie, zazwyczaj odczuwał głód, Wielki Głód. Obrócił się na pięcie, czy jak to nazwać, i przesuwał się niespiesznie wśród pozostałości Starego Miasta, wyprowadzając ze sobą jeszcze to i owo. Wokół niego świstały pociski-nuty melodii na flet. Był naprawdę dobry w tym, co robił. Właśnie – dobry! Autor Apokalipsy przy jego opisie bardzo to wszystko zdemonizował...

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Agata Zaręba-Jankowska
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i ilustracje: Iwona Bolińska-Walendzik, Bartek Świętecki, Elwira Iwaszczyszyn
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



02

Fotomonter XXI

04

Wywiad z Marcinem Wawrukiem

07

Koło Naukowe Twórczości Literackiej
„Ars Scripta”

08

Poezja

→ Dawid Kraszewski

→ Sabina Kowalczyk

→ Alexander Nowakowski

→ Wojciech Kobus

10

Proza → Bartosz Ławrynowicz

12

Proza → Kaja Wilęgowska

14

Obrazki działdowskie → Ewa Zakrzewska

16

Galeria VariArt-u → Bartek Świątecki

18

Bibliotekarze na fali → Jacek Smółka

19

Recenzja literacka

20

Poezja

→ Anna Buchalska

→ Marta Chrostowska

21

Recenzja literacka

22

Kij w mrowisko → Stanisław Czachorowski

24

Pod sztandarem Polish Jazzu

→ Krzysztof D. Szatravski

26

Warmińska oral history

→ Izabela Lewandowska

28

Recenzja muzyczna

29

Moja muza → Maria Jenny Burniewicz

30

Felietony

Jak wiadomo, świat dzieli się na wzrokowców, słuchowców i... kinestetyków. Mamy nadzieję jednak, że obecny numer „VariArta” mocniej zapadnie w uszy i serce nie tylko tym drugim. Oto symfonia literatury i natchnienia godna Mozarta. Śpiewają same tuzy: Marcin Wawruk, Jenny Burniewicz, Krzysztof Dariusz Szatravski, Kaja Wilęgowska... Jednym głosem choć chóralnie wybrzmiało Koło Naukowe „Ars Scripta”, zaś całość kontrapunktują poetki-solistki Anna Buchalska i Marta Chrostowska. Po raz pierwszy – i nie ostatni – głos zabrała Ewa Zakrzewska z Działdowa, autorka naszego nowego cyklu „Obrazków”. Ale żeby nie było, że rzędzi tylko muzyka poważna, ostrym rockiem uderza Stanisław Czachorowski, narażając się na odgłosy protestu tradycjonalistów. Przy nim głosem radiowym eter wypełnia Jacek Smółka, stawiając rzutkość bibliotekarzy. Ciszę chwali milczeniem Anna Rau, a piano o literaturze pisze Anita Romulewicz. Między dźwiękami współczesności słychać szepty historii. Jak przekonują Izabela Lewandowska i Barbara Kazmierczak, historia mówiona to coś więcej niż tylko sucha relacja.

Strona graficzna numeru również ma swoją dźwięczną partię solową. W futurystycznych projektach malarskich dynamikę miasta wyraził Bartek Świątecki, zaś dzięki ilustracjom Elwiry Iwaszczyszyn karty „VariArta” ptakami słuchają, ptakami gadają i ta ptasia całość tworzy łączność ponaddźwiękową.

A teraz cicho sza i marsz do czytania!
Redakcja

Podążając za Themersonem

29 grudnia 2013 r. na antenie Radia Olsztyn odbyła się premiera słuchowiska *Śledztwo według opowiadania Stefana Themersona w reżyserii Marka Markiewicza*. Rozmawiamy z **MARCINEM WAWRUKIEM**, dyrygentem i kompozytorem, autorem muzyki do słuchowiska.

Sylwia Białecka: Jak doszło do współpracy z twórcami słuchowiska *Śledztwo*?

Marcin Wawruk: Jedną z ważniejszych koncepcji autorów było użycie chóru w trakcie spektaklu i nawiązanie do tradycji dramatu greckiego. W ich założeniu zespół – podobnie jak chór w dramacie antycznym – miał wchodzić w interakcję z aktorami prowadzącymi dialogi, opowiadać i podsumowywać wydarzenia. Zespół ProForma ma już na swoim koncie różne interdyscyplinarne projekty na styku muzyki poważnej, popularnej i teatru – myślę, że dlatego autorzy zwrócili się do nas z tą propozycją.

S.B.: Jak wyglądały przygotowania? Czy sięgał Pan do innych utworów Stefana Themersona, opracowań? Na ile musiał się Pan do niego zbliżyć?

Przyznam, że Themersona nie znałem wcześniej, jak pewnie większość rodaków. Nie był dotąd przesadnie upowszechniany i był pisarzem bardzo niszowym (mam nadzieję, że to się zmieni). Kiedy przeczytałem *Śledztwo*, pojawiły się błyskawicznie skojarzenia i z Mroźkiem, i z Gombrowiczem, i z *Paragrafem 22* Josepha Hellera. Natomiast muzycznie – z Frankiem Zappą, którego wielbię, częściej słucham od czasu do czasu – a więc z groteską i eklektyzmem w muzyce. Taki kierunek bardzo mi odpowiadał, zwłaszcza że akcja *Śledztwa* jest niejasna i nieoczywista, a czytelnik zdeorientowany i zagubiony w tej narracji. Przełożenie tego na muzykę oznaczało dla mnie z jednej strony wyzwanie, ale z drugiej świetną przygodę.

W ramach przygotowań sprawdziłem, czym Themerson się zajmował, jaki jest i co lubi w literaturze, po jakie środki sięga. Widziałem w YouTube urywki z niektórych jego filmów, obejrzałem film biograficzny o nim, o jego żonie i o ich wspólnej działalności. To wystarczyło, żeby się z nim przywitać i wiedzieć, czego on potrzebuje. Bardzo pomocna była rozmowa z autorem słuchowiska, Markiem Markiewiczem, który określił, czego oczekuje od nas. O reszcie tak naprawdę decydował tekst.

S.B.: Czy trudno było przełożyć tę groteskę literacką, słowną, filozoficzną na dźwięki?

M.W.: To zależy od punktu widzenia. Bo gdyby przyjąć klasyczną pozycję kompozytora dzieła muzycznego i formy muzycznej

pojmowanej tradycyjnie, to rzeczywiście byłoby to wyzwanie karkołomne. Ale jeśli puścić cugle formy i tradycji i pójść za tym, co proponuje Themerson w tekście, może to być nieskrępowaną i sympatyczną zabawą. Ja zdecydowałem się na to drugie.

Oczywiście była to zabawa sympatyczna w cudzysłowie, bo Themerson porusza w swoim tekście problemy bardzo poważne – akcja opowiadania rozgrywa się w czasie II wojny – i ociera się o wszystkie polskie demony, łącznie z antysemityzmem, ksenofobią, kultuństwem, itd. To są rzeczy, które do dziś nam się odbijają czkawką, a opis Themersona mimo upływu siedemdziesięciu lat wciąż pozostaje aktualny, co świadczy i o jego wnikliwości i o sile talentu literackiego. Mimo powagi sytuacji, Themerson ujął wszystko we właściwy sobie, przewrotny sposób i pełno jest tam groteskowych postaci i prześmiesznych sytuacji. Starłem się to oddać w muzyce. Postanowiłem pójść za Themersonem dosłownie z zamkniętymi oczyma, a on mnie prowadził tekstem. Wychodziły z tego zjawiska dźwiękowe całkiem niespodziewane, które w utworach komponowanych klasycznie nie miałyby prawa się pojawić. Na przykład, układ frazy muzycznej wynikał bezpośrednio z postaci zdań, czy dialogów, a nie z rygoru metrum, rytmu i symetrii istotnych dla tradycyjnego dzieła muzycznego. W Introdukcji, kiedy słuchacze zapoznają się z metryczką *Śledztwa*, nawiązujemy do jego koncepcji poezji semantycznej, czyli zastępujemy słowa ich rozbudowanymi definicjami. Nie mówimy więc „radio”, a „instytucja opracowująca i nadająca program za pomocą fal promieniowania radiowego...” – ośpiewujemy rzeczywistość absurdalnym, encyklopedycznym językiem w konwencji artystów Piwnicy pod Baranami, którzy uwielbiali prezentować na estradzie np. obwieszczenia państwowe. Taka kompletnie irracjonalna fraza muzyczna wykracza daleko poza regularność tradycyjnej formy muzycznej, w wyniku czego łamiemy kreski taktowe, wywracamy do góry kołami puls i metrum, a od czasu do czasu sięgamy po środki cudownie nieadekwatne – zaczynamy od Piwnicy pod Baranami, a kończymy w monumentalnym oratorium w stylu Carla Orffa, z towarzyszeniem środków z arsenału muzyki filmowej, żeby było potężnie i groźnie. Wszystkie moje wysiłki i jako autora muzyki do *Śledztwa*, i jako członka zespołu ProForma, zmierzały do tego, by albo podkreślić te środki, po które



sięga Themerson i przełożyć je na język muzyczny, albo ściśle podążać za tym, co on proponuje, używając tylko innego języka. Starłem się też robić to z przymrużeniem oka, może z wyjątkiem utworu *Co to jest sen*. Ale sam Themerson, przytłaczający początkowo tekstem potwornie egzystencjalnym, raptem odjeżdża w groteskę, zabierając się do określania sensu życia aparatem pojęciowym fizyki, czy biochemii: „jaka jest wartość kaloryczna spermy”?

S.B.: Podczas ostatniego koncertu ProFormy zespół wykonał jeden z fragmentów *Śledztwa* – właśnie wspomniany *Co to jest sen*?. W pewnym momencie wykonawcy „opuścili partyturę” i zaczęli improwizować, wykonując tzw. circlesong. Skąd taki pomysł?

M.W.: W zespole ProForma już od jakiegoś czasu próbujemy pracować z techniką CircleSong, czyli formą improwizacji chóralnej. Wydawała nam się ona bardzo adekwatna akurat w przypadku tej pieśni. Jest to zresztą jedyny utwór ze *Śledztwa*, który daje się wykonać koncertowo, bo pozostałe są tak ściśle związane z akcją, że zaśpiewane

poza słuchowiskiem może byłyby i bardzo Themersonowskie, ale trudno byłoby wytłumaczyć słuchaczom, dlaczego akurat mieli tego słuchać ;).

Forma tego utworu jako taka jest zamknięta (mówię o tym, co nagraliśmy w słuchowisku), natomiast na koncercie, w pewnym miejscu partytury zostawiliśmy nuty i zaczęliśmy tworzyć coś, co nie było zapisane jako kompozycja, natomiast było rodzajem spontanicznej refleksji na temat tego, co zaśpiewaliśmy do tej chwili.

S.B.: Co było dla Pana inspiracją podczas tworzenia muzyki do *Śledztwa*?

M.W.: Miałem dwa źródła inspiracji albo inaczej dwa ograniczenia (myślę, że dobrze jest sobie, podchodząc do zadania twórczego – a tak to traktowałem – wyznaczyć jakiś, punkt zaczepienia, który nas w pewnym sensie ogranicza). Pierwszym ograniczeniem dla mnie był sam tekst, który kreślił formę utworu – poprzez długość frazy, jej rytm – a który z powodu specyficznego stylu Themersona jest bardziej



nieregularny niż metryczny. Z drugiej strony było pewne wyobrażenie dźwiękowe współczesnej literatury chóralnej, w której pojawia się bardzo dużo ciekawych przykładów rozszerzonej tonalności, gdzie harmonię traktujemy impresjonistycznie – rozmywając kontury współbrzmień, co daje delikatną, zmysłową fakturę o pięknym kolorycie. Na przykład utwory Erica Whitacre'a, Johna Tavenera, Mortena Lauridsena, czy Arvo Pärta – były inspiracją dla postaci brzmieniowej wspomnianego *Snu*. Z myślą o tym, że śpiewamy o śnie, że to ma być eteryczne, zwiewne, niedokreślone, używałem często bardziej skomplikowanych harmonii i starałem się, żeby kompozycja była oniryczna i nieostra. To były moje dwa punkty zaczepienia, które ze sobą korespondowały i które dzięki rytmowi prozy Themersona stworzyły oryginalną i trochę nieoczywistą formę.

S.B. Themerson napisał, że „świat jest bardziej skomplikowany niż język, którym o nim mówimy, a więc też i bardziej skomplikowany niż prawdy, które o nim słowami, zdaniem głosimy” (Nim ukaże się książka, „Współczesność” 1965). Czy muzyka jest takim językiem, który może wyrazić stopień skomplikowania rzeczywistości?

M.W.: Myślę, że tak, bo muzyka sama w sobie jest metajęzykiem. I jeżeli ją w odpowiedni sposób zorganizować – zarówno na poziomie twórcy, kompozytora, ale i na etapie realizacji – można obudzić w odbiorcy daleko bogatsze skojarzenia niż tylko ściśle semantyczne, związane z samym tekstem utworu. Podczas pracy nad muzyką do *Śledztwa* starałem się właśnie tak postępować. W utworze *Co to jest sen?* próbuję działać również sensualnie, czyli poprzez brzmieniowe sekwencje sugerować pewne wrażenia pozamuzyczne. W innych miejscach skojarzenia semantyczne pogłębiałem przez skojarzenia dźwiękowe, a nawet ilustracyjne. Kiedy w czołówce słuchowiska śpiewamy o Olsztynie, pojawia się muzyczny cytat z *Hymnu Warmii*, kiedy śpiewamy, że jest to siedziba Archidiecezji Warmińskiej, pojawia się odniesienie do chorału gregoriańskiego, przy informacji o siedzibie ewangelickiej Diecezji Mazurskiej pojawia się nawiązanie do Bacha i jego kantat. Również każda z postaci słuchowiska może być zilustrowana odmiennie środkami muzycznymi. Starałem się tutaj pogłębiać

to, co sugeruje Themerson, działając wielopłaszczyznowo, różnymi bodźcami. To nie jest tylko literalny opis postaci czy sytuacji, ale w dużej mierze odwoływanie się do wyobraźni dźwiękowej słuchacza i rodzaj intelektualnej zabawy w skojarzenia. Czasami są to żarciki, groteskowe przerysowania, a czasem absurd w czystej postaci. Wydaje mi się, że po drugim, trzecim wysłuchaniu *Śledztwa*, okazałyby się to bardziej czytelne. Myślę też, że taka zabawa sytuacjami i kontekstami jest bliska temu, co na temat strony muzycznej *Śledztwa* mogłoby wyobrażać sobie Themerson.

STEFAN THEMERSON (1910-1988)

Pisarz, filmowiec, wydawca, filozof. Autor powieści, opowiadań i esejów, eksperymentalnych filmów awangardowych (Przygoda człowieka poczciwego, Calling Mr Smith), twórca koncepcji poezji semantycznej. Założyciel wydawnictwa Gaberbocchus Press specjalizującego się w książkach o oryginalnej szacie graficznej.

W latach 1941-1942 przebywał w Hotelu Czerwonego Krzyża dla polskich żołnierzy. Podczas tego pobytu powstało inspirowane nim opowiadanie pt. Śledztwo, w którym Themerson opisuje życie grupy polskich emigrantów. Blisko siebie, w bezpiecznej, lecz socjalnie różnicowanej sytuacji, narastają konflikty, uprzedzenia, rodzą się nadzieje, nierzadko pojawia się rozpacz.

W 2013 r. na podstawie opowiadania Śledztwo powstaje słuchowisko Radia Olsztyn o tym samym tytule:

Adaptacja i reżyseria: Marek Markiewicz

Realizacja: Ryszard Szmít

Muzyka: Marcin Wawruk

Produkcja: Wojciech Ogrodziński

Wykonawcy: Anna Kukułowicz, Marian Czarkowski, Grzegorz Gromek, Kameralny Zespół Muzyki Północno-Wschodniej i Popołudniowej ProForma

Premiera: 29 grudnia 2013 r. na antenie Radia Olsztyn

O projekcie: <http://themerson.strefa.pl>

Koło Naukowe Twórczości Literackiej „Ars Scripta”

Koło Naukowe Twórczości Literackiej „Ars Scripta” funkcjonuje na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego i skupia studentów tworzących teksty literackie oraz pragnących pracować nad swoim warształem w kręgu osób mających podobne zainteresowania.

Pod czujnym okiem Opiekuna Naukowego omawiamy nasze prace, wymieniamy spostrzeżenia i uwagi, dzielimy się wiedzą oraz dyskutujemy o słowie i jego wykorzystaniu. Bierzymy również aktywny udział w wydarzeniach literackich i kulturalnych w Olsztynie i nie tylko.

CZŁONKOWIE:

Alexander Nowakowski – przewodniczący Koła, student filologii polskiej i prawa. Interesuje się komparatystyką literacką i duchami.

Anna Gawłowicz – studentka filologii polskiej i edukacji artystycznej w zakresie sztuki muzycznej. Pasjonuje się literaturą, poezją, muzyką i sztuką. Lubi naturę i podróże krajoznawcze. Prywatnie – organistka parafii Świętki i prowadząca trzech chórów – Chóru Aniołów, Scholi młodzieżowej „Powołani” oraz „Musica ex Anima”.

Karolina Błażejczyk – pochodzi z Emilianowa (gmina Susz w województwie warmińsko-mazurskim). Studentka I roku filologii polskiej w Olsztynie. Lubi czytać, pisać, marzy o pracy w bibliotece. Interesuje się też muzyką (gra na perkusji).

Bartosz Ławrynowicz – wiceprzewodniczący Koła, student II roku filologii polskiej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Hobby – czytanie, pisanie opowiadań, gra na gitarze. Zamieszkały w Barczewie.

Dawid Kraszewski – student trzeciego roku filologii polskiej. Organizuje wieczory poetyckie w ramach Studenckich Spotkań Kulturalnych. Mieszka w Olsztynie, pochodzi z Orzysza.

Sabina Kowalczyk – studentka II roku filologii polskiej, kierunku, który (jak sama mówi) zgłębia z wielką pasją i przyjemnością. Lubi czytać książki i pisać własne teksty (prozę i poezję). Wolny czas spędza również fotografując naturę i rysując.

Wojciech Kobus – rocznik 1994. Poeta, muzyk, student pierwszego roku filologii polskiej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Zwycięzca Rzeźni Literackiej 2013 w kategorii poezja.



Fotokorniks – Elwira Iwaszczyńska

Dawid Kraszewski

Do prawdziwych
mężczyzn*mojemu Ojcu*

Czy elegancki dżentelmen
może być wojownikiem z krwi i kości
a nieustraszony wojownik
nienagannym dżentelmenem?

1.
Jedyny
taki którego znam
nie nosił rewolweru ani melonika
żadnego fraka
ani ostrej dziury na ramieniu.

Nie miał forsy by ją wydawać
na restauracje i damy
bryki i panienki
i mieścić się w
regulaminowym czasie.

Nie toczył kampanii wojennych
nie walczył ani w KSW ani w MMA
nawet nie strzelił
żadnej bramki Niemcom ani Ruskim.

Nie miał rączego wierzchowca
by poderwać i porwać
złotowłosą królowną w nieznanie
jedynie zwykłego ośta.

2.
Nie doprowadzał kobiet
na szczyty fantazji
najkrótszą drogą
ani jako wprawny gracz
ani jako czuły barbarzyńca
albo do hysterii
jako Naprawdę Miły Facet.

Przeszedł próbę pustyni
jakby urodził się Beduinem
jakby przez punkt kontroli pasażerów
a testy na inteligencję zdał
bezbłędnie.

Maniery miał nienaganne mimo
to goszcząc na salonach
u lokalnych person i personek
nie unikał prostych pełnych
szczerości słów jak
w mordę strzelił.

Sam jeden
urządził krach na giełdzie
bankierczyków i tłustych biznesmenów
powiększających i tak już wysoki deficyt
ciszy
a zepsutym elitom spędzał sen z powiek.

3.
Ocalił piękną w tarapatkach
rysując palcem po piasku uciszył
burzę jednym skinieniem
jak na kelnera

a ja
jako dzieciak marzyłem by
być jak James Bond, Songo, Rambo, Spiderman
czy też inną postacią komiksów Marvela.
Może tylko Old Shatterhand i jego wierny przyjaciel
lub Papa Jaguar mogliby się z nim
równać.

Nie ma na świecie prawdziwych facetów.

4.
Prawdziwy Dżentelmen
i prawdziwy Wojownik
to po prostu
Ten, który Jest.

Sabina Kowalczyk

Podróż donikąd

Zmierzam Oceanem Głupoty
Do Pustyni Poznania
Gdzie w samym sercu Doliny Mądrości
Kryje się Cała Prawda.

A później...
Chyba wolałabym o tym wszystkim
Zapomnieć.

Odrzucam Całą Prawdę
Cofam się Doliną Mądrości
Zrywam znajomość z Pustynią Poznania
I bezpiecznie tonę w Oceanie Głupoty.

Alexander Nowakowski

Cesarzowa

Niech spojrzy – okiem z lazurytu,
Niech zerknie – tylko raz, przelotnie,
I już przez niemą myśl zachwytu,
Stracony jesteś bezpowrotnie.

Jednym uśmiechem ból rozpali,
Skinieniem skrzesa burzy grzmoty,
Więc trwożnie patrzysz z końca sali,
Jak w palcach skręca pukiel złoty.

I padasz w ciszy na kolana,
Marzysz - zachowa żywot młody,
Gdy na jej ustach – ubłagana! -
Wykwita słodki grymas zgody.

Wojciech Kobus

Autokarykatura

Zakoła Chruszczowa,
grzywka Hitlera,
brwi Breżniewa ,
podbródek Ribbentropa i
brakuje tylko wagi Churchilla,
by zmieścić się w ramach.

Swobodny

Przywiążuję wagę
do lewej nogi.
Každy krok stawiam na ostrzu noża.
Wychylenie do pełna i
pozostaje czekać, aż
tendencja spadkowa
weźmie górę.

Spóźniony języczek u wagi,
wypada zasapany.

Dzianina

Ania i Nina
oko w oko
w tkaninach.
Wyliniała część
nadziana
wykazuje niezwykłą elastyczność
przed moim zaminowanym obliczem.
Powódź
nastąpi tu miękko.

Bartosz Ławrynkowicz

Ars Gratia Artis

Nadszedł wreszcie tak długo oczekiwany dzień. Mężczyzna, który właśnie wygramolił się z łóżka, znany był wszystkim jako William. Stanowczo zabraniał komukolwiek używać swego prawdziwego imienia. Uważał, że imię „William” miało o wiele bardziej artystyczne brzmienie. Krzyczał nawet na policjantów wypisujących mu mandat za publiczne obnażanie się, ci prostytutki śmieli przypomnieć mu, jakie imię nadała mu jego głupia matka. Wzdrygnął się na wspomnienie tego nieprzyjemnego wieczoru i rzucił się biegiem w stronę kąta, który pełnił rolę kuchni. Ostatnie dni spędzał w piwnicy, śpiąc tam, jedząc i myjąc się w wielkiej metalowej balii, pełnej zimnej wody. Reszta jego domu przekształcona była w coś, o czym marzył przez dłuższy czas. Była pełnym uzewnętrznieniem jego duszy. Dlatego siedział wesoły na podłodze i nonszalancko opierając się o ścianę, jadł wczorajszą kanapkę z jajkiem i zapijał swym ulubionym sokiem z buraków.

- Wreszcie dziś! Czas na pokaz! Pokaz ostateczny! – krzyczał teatralnie, plując wokół okruszkami chleba. – Panie i panowie – zaczęła szeptem. – Nadszedł dzień, na który wszyscy czekaliśmy! Jeszcze czeka mnie trochę pracy, ale nie martwcie się! Wszystko odbędzie się zgodnie z planem! – bełkotał, śmiejąc się i jękając. Seria obłąkańczych chichotów trzęsła całym jego ciałem, kilkakrotnie sprawiając, że krztusił się kanapką. Gdy przełknął ostatni kęs śniadania i popił resztką ulubionego soku, jeszcze większy uśmiech zagościł na jego twarzy. Pełnia szczęścia powiększała jego szaleństwo. Nie mógł powstrzymać śmiechu, to już nie był chichot, to był głośny śmiech. Właśnie taki, jakim charakteryzują się ludzie mający w bliskiej perspektywie spełnienie najskrytszych planów. Wstał i pewnym krokiem ruszył w stronę łóżka, na którym leżały jego wygniecione ubrania. Założył specjalnie skompletowany strój złożony z czarnej koszuli, czerwonych spodni i marynarki. Na szyi zawiązał zieloną muchę. Gdy narzucił na głowę swój ulubiony fioletowy cylinder, zaczął przemówienie.

- Witam państwa! Witam w moich skromnych progach! Cha cha! Progach, które... Cha cha!... Przeistoczyłem w cudowne, wspaniałe dzieło sztuki. Zapraszam! Oglądajcie! – przerwał na chwilę. – Bando ignorantów i przygłupów! Po co mi widownia?! Ludzie przychodzą i krytykują! Nie podoba się! Muszą krytykować! A czemu? Bo chcą być częścią sztuki, chcą się tutaj wepchnąć! Chcą brać udział! Wyprać mi mózg! – znowu przerwał. Gdy ponownie podjął swoją przemowę, zaczął przeproszająco. – Nie martwcie się, szanowni państwo. Nie słuchajcie go! Dzisiaj pokażemy państwu przedstawienie ostateczne. Wszyscy weźmiecie w nim udział. Zapraszam! Ustawiajcie się w kolejce! – swoją przemowę zakończył przed lustrem. Jego pociągła twarz

była blada i niedogolona, zęby żółte, a włosy zaniedbane. W oczach czaiło się szaleństwo. Mimo tego był bardzo zadowolony ze swojego wyglądu.

- Czas zobaczyć, czy wszystko gotowe! – powiedziała z lekceważeniem, traktując to jak czystą formalność.

- Drogi panie! Zadbam o to, by Twoje oczy nacieszyły się pięknem przedstawionym w czystości – bełkotał, wspinając się w górę schodów. – Połączyłem nowoczesność sprzętu z klasycznym ujęciem sztuki. Dom musi być czysty i odpowiednio ukazany – spoważniał, krytycznym okiem omiatając korytarz. Stał niczym zahipnotyzowany, wycierając nieistniejący kurz z poręczy. Od miesiąca wyczekiwał na ten dzień. Wszystko musiało być perfekcyjne.

- Tutaj, drodzy państwo, będzie wejście! – wskazała na drzwi. Cały korytarz jest idealnie biały. Niech to da wam do myślenia! Niech biel tych ścian będzie białą kartką, którą zapiszę literami doświadczenia, jakie zdobędziecie w pozostałych częściach wystawy. Nie pchajcie się! Będziecie wchodzić pojedynczo! Kolejno wzywani przeze mnie głosem zamontowanych na ścianie głośników. Bo przy drzwiach mnie nie ma! Czekam na górze! Spotkam się z wami na końcu – powiedział zagadkowo w kierunku swojej wymagowanej widowni. – I nie przejmujcie się lustrami! To mój mały system, dzięki któremu będę mógł was obserwować.

Korytarz był czysty i odpowiednio przygotowany, jedyne, co się w nim znajdowało, to schody prowadzące do piwnicy i drugie skierowane na piętro. Poza nimi wszystko było idealnie białe. Nawet drewniana podłoga pokryta była warstwą białej farby.

- Gdzie skierujecie swe kroki? Macie do wyboru trzy pomieszczenia! Ma pani rację! Zaczniemy od kuchni! Dobrze, kochanie! Kuchnia jako miejsce przygotowania wszystkich prywatek będzie idealnym miejscem, by rozpocząć główną część waszej podróży.

Po tych słowach skierował swoje kroki w kierunku pomieszczenia usytuowanego naprzeciwko drzwi wejściowych. Kuchnia była pomalowana na czerwono, miała tylko jedną białą ścianę. Czerwone ściany obwieszane były różnego rodzaju półkami. Na każdej z nich leżały noże. Niektóre były krótkie i małe, inne większe. Niektóre miały ząbki, inne ostrza pozaginane na końcach. Pośród noży znajdowały się również tasaki. Wszystkie narzędzia były diabelnie ostre. Na białej ścianie krwią zapisane było:

„Atramentu w bród,
Masz więc wielką moc”.

- Tutaj, moi drodzy, macie niepowtarzalną okazję stać się częścią dzieła! Tak lubicie przecież się wtrącać! Dodajcie werset wiersza, dowiedźcie się, jak to jest tworzyć! Czasem trzeba się poświęcić dla

sztuki! – zaśmiał się szaleńczo. – Droga dziewczynko – przykleknął i przemówił cichym głosem. – Ładna sukieneczka. Mamusia ci ją wybrała? Mamusię spotkam na końcu. Tymczasem, masz tu malutki nożyk. Taki jak dla dziecka. Przejedź nim po rączce. O tak! Teraz, gdy już masz atrament, możesz coś dopisać. Jak to nie umiesz pisać? Każdy umie. Cha cha! – wybuchnął śmiechem. Opadł na ziemię, opierając się o jedną z półek i tarzał się w dzikim zachwycie.

- Nie uciekaj! Wszyscy możemy tworzyć razem! Cha cha! Tak lubicie oceniać? A gdzie poświęcenie? Bądźcie częścią tego wszystkiego! Bo po co ludzie gadają? By wyglądać mądrze! By być tym, kto rozumie! Wyjaśniając innym i wydając ocenę, w pewnym sensie stają się pośrednim twórcą. Twórca recenzji! Figa! Nie ma! Poświęć się! Nikt już nie będzie mi mówił, jak powinienem zmienić ostateczne przedstawienie. Bez prania mózgu! – tarzanie się ze śmiechu nagle ustało. Z oczu Williama zaczęły płynąć łzy. Śmiech przerodził się w szloch. Mężczyzna cały się trząsał i wył niczym z najgorszego bólu. Chwilę później powstał i jak gdyby nigdy nic poprawił wygniecione ubranie. Poza łzami na policzkach po ataku płaczu nie pozostał nawet ślad. – Przepraszam państwa za niego – rozpoczął oficjalnie. – Nie zwracajcie na niego uwagi. Sugeruję, byśmy kontynuowali naszą wycieczkę. Chodźmy może do łazienki. Zaczniemy zwiedzanie od mniej oficjalnych miejsc, by w końcu przejść do tych, gdzie każdy człowiek przyjmuje gości.

Po tych słowach wkroczył do łazienki. Była ona pokryta fioletową farbą, a jedynym przedmiotem, jaki się w niej znajdował, była wanna.

- Jak się państwo zapewne domyślają, kolor ścian jest metaforyczny. Tak często widuje się łazienki skąpane w jasnyniebieskich barwach. Postanowiłem uczynić to pomieszczenie nieco cięższym i bardziej depresyjnym. Jak się zapewne domyślacie, chodzi tu o ciężkość życia twórcy. Tak, moi najdrożsi przyjaciele, wielbiciel sztuki nie są świadomi, do jakich wyrzeczeń zmuszani są ich idole. Oczywiście, nie przyszliście tu, bym was zanudzał swoimi problemami. Kochani, połóżcie się wygodnie w wannie i zamknijcie oczy. Doświadczenie piękna muzyki – po tych słowach rzucił się biegiem przed siebie. Wdrapał się po schodach na górę i wbiegł do pomieszczenia, gdzie stał fortepian. Zaczął grać. W łazience idealnie było słyszeć, jak William bezlitośnie katuje biedny instrument. Piosenka, którą napisała na tę okazję, sama w sobie ledwie nadawała się do słuchania. William jeszcze pogorszył efekt, co chwilę myśląc klawisze lub gubiąc rytm. Gdy tylko wybrzmiały ostatnie fałszywe dźwięki, zadowolony z siebie muzyk powrócił do swojej urojonej publikacji.

- I to jest właśnie istota muzyki. Powstańcie, moi drodzy. Pójdźmy teraz obejrzeć kilka obrazów i rzeźb mojego skromnego autorstwa – wkroczył dumnie do czarnego pokoju, gdzie stało kilka

koślawych rzeźb i całkiem niezłych jak na amatora obrazów. Przy każdym z dzieł stała lampa rzucająca na nie zbyt mocne światło.

- W salonie, tym swoistym ogrodzie odpoczynku, postanowiłem zmieszać czerń – brak koloru ze światłem padającym na moje dzieła. Co powiecie na to ustawienie?! Bando wiecznie oceniających prostaków! Odebrało wam mowę?! – po tych słowach oparł się o posąg kobiety. Rzeźbiona ręka urwała się i z łoskotem upadła na ziemię.

- Co wy robicie?! Nie wolno dotykać eksponatów! Zniszczyliście dzieło sztuki! Wandale! Przyszliście tu profanować dom mojej matki, który po jej śmierci przeistoczyłem w idealne dzieło sztuki! – podniósł urwaną, gipsową rękę i przyjrzał jej się krytycznie. – Ręka kobiety! Właśnie stworzyłem nowe dzieło! Kobieta bez ręki i rzeźbiona ręka będą do siebie idealnie pasowały! Mój geniusz potrafi zadziwić nawet mnie samego!

- Dobrze, moi drodzy – podjął po chwili milczenia. – Czas na wielki finał! Zapraszam na piętro, do mojego pokoju z lat dzieciństwa.

Było to jedyne pomieszczenie wystawowe, którego koloru William nie zmienił. Ściany nadal pokrywała ta sama tapeta w samochody, którą tak kochał jako pięcioletni chłopiec. Znajdował się tam fortepian i łóżko połączone z jakimś dziwnym mechanizmem. Nad fortepianem wisiła pętla wisielcza. Jedna ze ścian pokryta była lustrami, które według Williama miały mu umożliwić podglądanie gości w całym domu. Mężczyzna napracował się, by umożliwić sobie tę przyjemność. Cały dzień wybijał dziury w podłodze.

- Proszę państwa, finał będzie czymś naprawdę wyjątkowym! Każde z was będzie kładło się na łóżku. Ja będę grał utwór zespołu „Black Label Society”, o tytule *In This River*. Gdy skończę, z sufitu spadnie gilotyna i zetnie waszą głowę. Mechanizm jest ukryty, bo widza trzeba zwodzić aż do ostatniej chwili. Nie martwcie się, wiem, że w tym momencie każde z was chciałoby oddać życie sztuce. Mimo tego grajmy aż do końca. Wyobraźcie sobie!

Mężczyzna wchodzi do pokoju, w którym stoi fortepian. Na fortepianie stoi pięć głów. Jego żony, jego siostry i jej męża oraz jego dzieci. Mężczyzna w twórczym szale nie zwraca na to uwagi i kładzie się na łóżku, by po chwili do nich dołączyć.

- Przecież to coś wspianatego! Gdy tylko pozbawię głowy każdego z was, osobiście powieszę się na tym sznurze i będę niczym bezwładny dyrygent nad niemą orkiestrą. – William był z siebie bardzo zadowolony. W tym momencie był już pewien, że wszystko pójdzie tak, jak tego oczekiwał. Nie myślał nawet, co zrobi z krwią pokrywającą łóżko i ciałami zabitych. Takich szczegółów nigdy nie brał pod uwagę. Pozostało mu jedynie czekać na ludzi zwabionych plakatami, którymi praktycznie wytapetował okolicę.

Nadszedł czas przedstawienia. Rozległo się pukanie do drzwi.

Kaja Wilengowska

SZISZA BAR

Drogi mój synu, pewnego razu, niespodzianie i na wyrost spotkałam twój niewinnie wyglądający ojca, nie wiem, jak to się stało, nie zwróciłam uwagi, bo myślałam o kimś innym, pewnego razu, synu z gwiazd, pojawił się blask, o zgrozo, rymując, pojawiło się światło i wzeszło słońce, wtedy ty powstałeś, z gwiazdy... epifanicznie, choć niepozornie, powstałeś, synu, jak myśl się pojawia nagle, kiedy pływasz i patrzysz na brzeg, pojawia się myśl, czy dam radę, czy mięśnie wytrzymają i oddech będzie nadal równy, tak, synu, powstałeś...

Siedzieliśmy przy sziszy o smaku anyżu. Kobieta zaczęła opowiadać... o początkach jakiejś wyuzdanej historii romansowej, tylko nikt nie chciał słuchać. Siedzieliśmy jak brzdące w przedszkolu, skrzyżowane nogi po turecku, patrzymy na nasze zabawki i miny, kobieta mówi.

Tak, synu, mgłą zaszło mi i nagle byłam w ciąży. A miałam męża, synu, ale ten plemnik wykazał się wytrwałością, ten plemnik, z którego powstałeś i teraz jesteś gdzieś na tym świecie, synu mój już dorosły, wędrujący. Pewnego dnia postanowiłam, że będziesz, tak po omacku i we mgle, ale świadomie daliśmy ci życie. W naszym namiocie było słońce i światło, wokół szalała burza, podchodziły wilki i wiał wiatr. W naszym namiocie spokój, miłość i daliśmy Tobie, synu, życie...

wow... śmiesznie jest, ona mówi jak w transie, a my siedzimy, pies ziewa, Jezusem nawet pachnie od kobiety w kolorowej sukience, splecionych w kok włosach i nerwowym spojrzeniu... ja słucham, patrząc w podłogę, słucham, udając, że nic mnie to nie obchodzi, pod słuchuję nawet...

Mój drogi synu, daliśmy Ci życie, nie będąc gotowi, daliśmy i, nie wiedząc, co robić, rozeszliśmy się rankiem do swoich żon, mężów, obowiązków i systemów wartości... potoczyłeś nas, synu, na święte nigdy i narodziłeś się w tym świecie. Nie na tym, tylko w tym. Położna powiedziała – zdrowy chłopiec – i wróciłam do domu. A ty, synu, rosteś i rosteś, pięć kilo to jeszcze dawałam radę nosić, ale jak ważyłeś dziecięć, ech było ciężko... mówiłeś już i nie przestawałeś patrzeć na mnie z tym dziwnym poczuciem krzywdy. Mamo, a gdzie jest tata? Inne dzieci mają, a ja? Mamo, powiedz, czy to ten Pan ze spożywcza, co daje mi śmiejełki za darmo? On się tak miło uśmiecha... tata odszedł, mąż mój odszedł, synu, bo wiedział, że nie jest twoim ojcem, zostawił nas, synu, i siostrę twoją, którą kochał nad życie, zostawił i odszedł, a kiedy patrzę w lustro, to marzę, żeby ten dzień się nie wydarzył, ten namiot, burza i wiatr, przepraszam, ale nie...

co za historia, myślę sobie, bo nie bardzo kumam, o co chodzi.. kobieta ma dziecko jedno z jednym, drugie z drugim i jakieś tajemnice, a siedzi tu wśród obcych i mówi... o co chodzi? No nic, chce mi się słuchać dalej, ależ oj, ależ ci ludzie mają ciekawe story, jak w reklamie środków przeczyszczających... Przy sziszy gromadzi się tłum, głos kobiety jest coraz bardziej bolesny i pies przestał ziewać, słuchamy...

Dorastałeś, synu, w moim bólu, gniewie i sama tego chciałam, wiem. Na własne moje życzenie, synu, się narodziłeś. Z gwiazd zszedłeś i musiało tak być, kiedy miałeś, synu, 9 lat, spotkałam twój ojca, dawcę genów już jedynie, ojca z nazwy, przyszedł, jak nigdy nie przychodził, tak stanął w drzwiach, kiedy spałeś, i spytał w tak bolesny sposób o Ciebie, spytał, synu, choć 9 lat czekałam na to pytanie, tego dnia nie byłam w stanie odpowiedzieć temu już obcemu człowiekowi, że jesteś, śpisz w swoim łóżku ferrari, pod kołderką spidermana i jesteś przy mnie. Przepraszam znowu, synu, ojca nie poznasz, bo w jego oczach tęsknoty nie było, ciekawość tylko, co z plemnika powstało i jak sobie radzi. Drzwiami trzasnęłam i, synu, on już nie wróci, oby nie wrócił... chłód poczułam z zimnej ciekawości nie oddam ciebie ani słowem nie dam, imienia nie pozna, uśmiechu nigdy... nie zuboży, synu, nie i bać się nie będę o każdy jego gest, każde słowo nie w moją kierowane stronę, uludę bliskości, nie będzie go z nami. I kiedy włóczył przebieś tak dyplomatycznie, synu, moje obawy, wstając rankiem i opowiadając sen swój, że ratowałeś go znowu, że z klatki przeganiałeś tygrysy, śmiałam się już tylko... nie będzie jego, ani dzikich zwierząt, nie z nami, synu, i chronię Cię wtedy, i chronię cię teraz, gdziekolwiek jesteś. Gdy znowu szkoła, obiad i zabawa, zapomniałeś, synu, o śnie, zapomniałeś o tych oczach, co je ratować miałeś i tygrysach, które ciągle wyginąć nie mogą. Powiedziałeś o dziewczynie kilka lat później, dla której dzikie zwierzęta przeganiać będziesz, i byłam szczęśliwa. A kiedy ból ci zadała i odejść z miasta musiałeś, płakałam znowu, że los jego powtarzasz.

Księżyc nienaturalnie świecił, za mocno chyba, albo to ten tytoń, bo wszyscy byliśmy w chmurach, urzeczeni historią znienacka opowiadaną jak księża w zbiorowym konfesjonale. Modlimy się za ciebie, nieznaną, chyba się modlimy, troszkę podśmiewujemy jak księża...

Wyjechałeś miejsca swego szukać, wyjechałeś, w pierwszy pociąg wsiadając, i nie widziałam cię rok. A ból twój, synu, został, we mnie i dziewczynie, która krzywdy nagrodzić chciała, ale zabili ją, synu, zabili i niczyja to wina, mordercy tylko, choć wszystko na siebie wziąć chciałeś. Wziąłeś winę, że uratować nie zdołałeś i teraz siebie karać będziesz,



teraz cierpienie rozsiewać i nóg rozchylonych szukać, byle ból swój stłumić. Tej czeluści żadna ilość pokarmu, żadna ilość przyjemności zapętnić nie zdołała, po roku wróciłeś, mammo, mówiąc: „Mamo, to ciągle boli, dlaczego ona, dlaczego nie ja, mogli mnie we krwi w piwnicy zostawić przecież...” nie, synu, odpowiadałam, nie mogli, ty masz jeszcze swoje do zrobienia. I utłuda miłości, i ból, i tak na zmianę, a ja patrzyłam na to wszystko, pomóc nie mogłam, patrzyłam tylko, synu, bo już bronieś się przed matką. Nie pytaj, skąd to wiem, jedno spojrzenie i smutek, jak bardzo samotny jest syn mój jedyny. Jak bardzo sprawdza swoją siłę i jak dużo za to płaci. Boli mnie, synu, każdy twój uraz, boli i mówić nie muszę, każda łza niewylana moimi oczami rekompensowana być musiała. I każdego dnia się modliłam, żebyś dał się komuś dotknąć, jak ja twojemu ojcu w tę noc jedyną, dotknąć tak bardzo, że tak bliską czyjąś dłoń na swoim sercu kładziesz i już nic złego wydarzyć się nie może. Sama byłam, synu, przez te lata, nawet siostra twoja wiedziała, że ja dla ciebie tylko żyję, chociaż zdrowie już nie to, czekam, kiedy osierocić cię będę mogła. Wędrowałeś gdzieś... wędrujesz nadal...

Hm... nudne już te dramaty z synem jakimś i składnia nieludzka, niecodzienna i w mordę udziela się, więc podśmiewujemy się już prawie biblijnie w szysza barze, ciągle siedząc, a tu epifania do słuchania...

I kiedy tak w oczekiwaniu na samozagładę trwałam, synu, kiedy tak bardzo chciałam, żebyś wrócił i prowokowałam każdą chorobę świata nadaremnie, by litością cię ściągnąć, pewnego dnia to mój ojciec przyszedł. Nad tóżkiem obolałej a zdrowej stanął i rozplakał się moimi już wtedy łzami. Bezradnie spojrział i wyszedł ... wiedziałam już, że strach mój o ciebie nadaremny, że ból mój za ciebie nadaremny i cała niemądrość z tej mądrości spłynęła, i jestem tutaj teraz, w pełni sił i mocna. Szczęściarzu, synu mój, pełna lodówka jest tu dla ciebie i ulubione potrawy, wracaj, jeśli możesz, wędruj, jeśli musisz, ale jestem, wciąż w drodze jestem, a długo być w drodze nie mogę, bo i na mnie czeka mój ojciec, i na mnie czeka siostra twoja. I jeśli nawet wciąż boli, nie przestanie, jeśli

z nami nie będziesz, jeśli twoja stopa progu nie przekroczy i wiem już, synu, jak smutek odwrócić, zatrzymać cię w sobie samym. Błądzić już nie będę, rozpaczać i dość już tego, synu, dosyć. Już po raz trzeci i ostatni historię swoją obcy opowiadam, już po raz trzeci, ostatni obcy wiedzą więcej niż syn mój jedyny i tak właśnie historia ta skończyć się musi. Tu i teraz, w przypadkowym szysza barze, najnormalniej i bez entuzjazmu, skończyć się ból musi i winy odpuszczone, synu. Za matkę moją, która cię poznać nie mogła, za ojca twojego, którego imię nosisz, za dziewczynę zabitą już nie masz, synu, win więcej. I wiedzieć nic nie muszę...słowa więcej nie wypowiem.

Hmm po tysiąckroć, siedzimy niewinnie a przytłumieni w naszym barze, dym się ulatnia, ale nikt nie odchodzi. Dym w górę płynie, siedzimy milcząco, patrzymy na siebie jakoś odświeżeni, nie pamiętam, jak to było, krótka historia, a nie pamiętam jej całkiem, kobieta głowę podniosła i gdzieś daleko w gwiazdy pewnie patrzyła. Księżyc natarczywy, niebo bezchmurne jakieś i cisza... pies chociaż spał spokojnie, bo wszyscy jakby cudu czekali, objawienia i jakiejś pijackiej akcji, niebo się rozstąpi czy coś, a tu nic... cicho i lekko. Kobieta wstała i poszła ot tak... Po sobie spoglądaliśmy i nic po sobie znaleźć nie mogąc, po podłodze, gwiazdach szukając, nic... tylko nagła cisza, pies się budzący i tyle...

Wstałem pierwszy, wstałem z ciszy otumaniony tytoniem albo czymś jeszcze, bo myśleć mi się nie chciało, mówić nie chciałem, wyjaśniać i tłumaczyć. Wstałem pierwszym krokiem poranka już prawie, wyszedłem sobie i już. To nie dla mnie, nie dla mnie te metafory niejasne, nie dla mnie, nie może być dla mnie, idę już, uciekam ... uwolniony jakiś nie od siebie, nie za siebie, za obcego chłopaka i jego matkę, uwolniony jakiś ... nie każcie mi już dłużej słuchać tego, do domu muszę, do siebie, drzwi zamknąć, nie wiedzieć. Najlepiej wychodzi niewypowiedziane.

Ewa Zakrzewska

Orzeł z apteki

Miasteczko pogrążone było we śnie. W ciemności jawiła się sylwetka spacerującego stróża nocnego. W świetle jego latarni widać było zarys budynku działdowskiego ratusza będącego po spaleniu w stanie odbudowy. Przylegały do niego budowle służące za składy towarów i kramy kupców. Z czterech stron rynek okalały nierówne rzędy kamieniczek, które jak uśpione kumoszki ciasno przytulały się do siebie ścianami. Przy wschodniej stronie, po obu rogach rynku mieściły się gospody. Powietrze przesycone było zapachem kurzu unoszącego się po trwającym do południa jarmarku. Zmęczony swą wędrówką stróż przycupnął przy bramie jednej z kamienic, otulając się szczelnie peleryną. Przez przymknięte oczy obserwował senne tak jak on miasto. Tu i ówdzie przemknął zabłąkany kot, zaszczekał pies, przerywając panującą ciszę. Minęło kilka chwil, które czuwającemu stróżowi zdawały się długimi godzinami. Cisza i spokój pozwoliły zacząć go usypiać. Jego powieki stały się niewyobraźalnie ciężkie i wkrótce opadły mu na oczy. Pogrążony we śnie nie mógł zauważyć męskiej postaci, która nagle nie wiadomo skąd pojawiła się na rynku. Mężczyzna okryty był szerokim płaszczem, spod którego widać było jasne poszarpane portki oraz dziurawe ciżmy. Mimo sporej tuszy biegł zwinnie między kamieniczkami, rozglądając się wokół. Najwyraźniej czegoś lub kogoś szukał.

Tymczasem w jednej z kamienic po prawej stronie rynku aptekarz Christian von Neaus nerwowo przewracał się w pościeli. Sen burzyła mu spożyta w nadmiarze kolacja, którą zjadł późnym wieczorem w towarzystwie gości. Pieczone mięsiwo, duszona kapusta na słońnie, hojnie popijane garncami wina nie pozwalały na spokojny sen. Do izby przez niezastłonięte drewnianymi okiennicami okna zaglądał księżyc. W jego świetle dojrzeć było można duży stół z masywnymi krzesłami, bogato rzeźbioną skrzynię i drewniane łożo, na którym spoczywał gospodarz – właściciel apteki. Nad nim na ścianie podbitej zielonym płótnem wisiał krzyż. Po stronie przeciwległej przy drzwiach znajdował się zegar wiszący z wagami, a na ścianie środkowej, pokrytej kobiercem, wisiał muszkiet. W rogu pomieszczenia obok okazałego pieca stał mosiężny trojasty lichtarz.

Apteka odbudowana po ostatnim pożarze miasta pełniła także funkcję sklepu korzennego oraz winiarni, do której trunki sprowadzano z dalekich krajów. Jej właściciel aptekarz i chirurg von Neaus cieszył się wśród mieszkańców zasłużoną sławą. Dał się poznać jako doskonały lekarz, który wyleczył niejednego pacjenta z ciężkiej choroby, a sporządzane przez niego leki skutecznie uśmierzały codzienne dolegliwości miejscowych. Jediną wadą aptekarza była przesadna gościnność. Sprzyjało temu posiadanie własnej dobrze zaopatrzonej

winiarni oraz towarzystwo, w jakim na co dzień obracał się aptekarz. Odwiedzali go często właściciele kramów spod ratusza i goszcząca u nich szlachta mazowiecka. Nie obyło się wtedy bez picia, głośnych śpiewów, a czasami, o zgrozo, dochodziło nawet do burd i potyczek między gośćmi. Mieszkańcy Działdowa mieli za złe aptekarzowi, że nie dobiera sobie odpowiedniego towarzystwa, jakie przystoi statecznemu obywatelowi miasta. Jednak patrzyli przez palce na tę przywarę, mając w pamięci jego służbę dla bliźnich, bezinteresowne i ofiarne niesienie pomocy potrzebującym.

Nagle w niespokojny sen von Neausa wdarł się odgłos łoskotania do okna. Energicznie poderwał głowę z poduszki i do jego uszu doszły kroki zbiegającego po schodach służącego, który śpieszył, aby sprawdzić, co było powodem tej gwałtownej pobudki.

Mimo skrzypienia otwieranych drzwi aptekarz usłyszał głośnie wołanie:

- Na Boga, gdzie doktor? Obudź go najszybciej, jak możesz! Czekamy ratunku od niego. Nasza córka zaniemogła!

Von Neaus natychmiast zerwał się z łóżka i pobiegł na dół do drzwi.

W progu stał zdyszany mężczyzna. W jego głosie słychać było rozpacz i wielkie wzburzenie.

- Doktorze, pędź! Proszę, daj lekarstwo, niech uratuje naszą córkę! Leży rozpalona gorączką, nie poznaje ojca ni matki. Tylko w tobie nadzieja!

- Nie dam wam lekarstwa, dopóki nie zbadam waszej córki i nie dowiem się, co jest przyczyną jej słabości. Dopiero wtedy może uda mi się sporządzić odpowiednią miksturę – powiedział gospodarz domu. – Kim jesteś, skąd przybywasz? – zapytał.

Mężczyzna odgarnął nerwowo rozwichrzone włosy i powiedział:

- Jestem stolarz Joachim. Wraz z moją rodziną mieszkamy w okolicach Młynowej przy tartaku, niedaleko browaru. Pośpieszmy się, panie – ponaglił – każda minuta droga.

- A zatem poczekajcie, ubiorę się tylko i pójdę z wami. Ale przedtem jeszcze przygotuję miksturę, która może przynieść ulgę chorej.

Aptekarz skierował się do izby znajdującej się naprzeciw schodów. Było to duże pomieszczenie z szafami pełnymi najróżniejszej wielkości butelek, flakoników, drewnianych i porcelanowych pojemników wypełnionych jakimiś substancjami i proszkami. Wśród nich stały moździerze oraz waga i kilka mniejszych miarek. Von Neaus zaczął odmierzać różne substancje ze swych tajemniczych flakoników, mieszał je, podgrzewał, ucierał, a następnie przelał do niewielkiego porcelanowego pojemniczka.

- To niezawodny lek na gorączkę. Może przy dolegliwościach dziewczyny okazać się pomocny – powiedział do siebie. – Możemy ruszać w drogę – dodał, wychodząc z izby.

- Oby tylko nie było za późno – zatrwożył się stolarz Joachim. – Nocą droga niełatwa. Zejdzie nam trochę czasu, zanim dotrzemy do Młynowej.

Opuściwszy aptekę ruszyli niezabrukowaną drogą w kierunku południowo-wschodniego narożnika rynku. Po drodze mijali kamieniczki bogatych właścicieli, stojące szczytami do ratusza, oraz cichą już o tej porze karczmę. Wkrótce znaleźli się w bocznych uliczkach, gdzie mieszkali drobni rzemieślnicy, kramarze i robotnicy. W niedalekiej odległości widać było młyn i folusz, a dalej tartak. Tu zaczynała się Dzielnica Młynowa. Minęli browar i stodownię, spoglądając na kapustniki ciągnące się po przeciwnej stronie, i stanęli przed bramą prowadzącą na podwórzec.

- To tutaj – powiedział Joachim, wskazując von Neausowi niepozorny drewniany budynek z kamienną przybudówką. W ciemności aptekarz zauważył zbiornik na wodę i złożone pod budynkiem odpadki i drewno na opał. Wchodząc, musiał pochylić głowę, ponieważ wejście było bardzo niskie.

Wnętrze domu było niezwykle ciasne, zaś prowadzące na górę schody swą stromizną niewiele różniły się od drabiny. Na dole znajdowały się dwie izby. W jednej była niewielka stolarnia Joachima, a w drugiej skupiało się życie rodziny stolarza. Było to duże pomieszczenie, w którym stał piec, szeroka ława pełniąca rolę stołu, obok niższa, długa do siedzenia, pod oknem stały krosna, a naprzeciwko półka z miskami i garnkami oraz wiadro z wodą. Pod ścianą znajdowało się drewniane łóżko, na którym rysował się kontur drobnej postaci. Przed Neausem pojawiła się zapłakana kobieta w płóciennej koszuli i zgrzebnej spódnicy.

- Panie, ratuj ją – wskazała na postać leżącą w łóżku. – To nasza Maryjka. Wczoraj ganiała z dziećmi nad rzeką i wpadła do wody. Przyszła zziębnięta do domu, a wieczorem nasza ją gorączka niemożliwa. Jeść przestała, śpi ciągiem, a dziś jakoweś bielmo zakryło jej oczy i nie poznaje ani ojca, ani matki ni braci swoich!

Aptekarz podszedł do łóżka i spojrzał na rozgorączkowaną dziewczynkę. Leżała na sienniku ze słomy przykrytym płóciennym prześcieradłem. Pierzyna i poduszki przesiąknięte były potem. Doktor odsunął przykrycie i przystąpił do oględzin Maryjki. Po kilku minutach zakończył badanie.

- Nie widzę tu nic groźnego – uspokoił rodziców dziewczynki. – Smerów w płucach nie słyszę, serce bije miarowo. Widać Maryjka przeziębila się srodze, a że organizm jest twardy, sam walczy z gorączką. Dobrze, że spodziewając się tego, przed wyjściem sporządziłem miksturę, która jak nic pomoże waszej córce pozbyć się owej fatalnej gorączki – powiedział wręczając żonie stolarza porcelanową fiolkę. – Podajcie jej to zaraz, a rano zobaczycie córkę w lepszym zdrowiu.

- Panie, nie wiem, jak mamy ci dziękować – zawołał nieco uspokojony Joachim.

- Nie dziękujcie mi, tylko baczcie uważnie, co by Maryjka do zdrowia powróciła. Potem nakarmcie ją rosółem, a zaręczam wam, że z ochotą będzie jadła – poradził. – A tymczasem, Joachimie, odprowadź mnie do apteki, bo ciemno jeszcze i, nie daj Boże, co by jakowyś rozbójnik mnie napastował – zakończył dysputę Neaus.

Droga powrotna zesłała im na małej pogawędce i radach aptekarza, co mają czynić, aby Maryjka powróciła do zdrowia. Rozwidniało się, gdy dochodzili do apteki.

Von Neaus z rozkoszą zanurzył się w pościeli.

- Po takich przeżyciach będę spał do południa – powiedział zmęczony, ziewnął i natychmiast zasnął.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy znów obudziło go łaskotanie tym razem do drzwi.

- Do kaduka! A co tu się dzieje? Kto to znowu! – rozżłościł się aptekarz.

- Panie – usłyszał głos z dołu. – Panie, to znowu przyszedł stolarz z Młynowej – zawołał służący.

- Czyżby moja mikstura nie podziałała? – pomyślał z niepokojem Neaus. – Niemożliwe, przecież to była najwyklesza gorączka i dałem najlepsze lekarstwo – mamrotał do siebie, ubierając się.

Na dole zastał Joachima, ale tym razem jego twarz była rozradowana.

- Panie, stało się tak, jak nam mówiłeś! Maryjka z rana otworzyła swe niebieskie oczęta, popatrzyła rozumnie na nas i już wiedzieliśmy, że jej się poprawiło – zawołał uszczęśliwiony. – A zaraz potem poprosiła, aby dać jej co do jedzenia, bo okrutnie zgłodniała po śnie – dodał z uśmiechem.

- Mówiłem, że wszystko obróci się ku dobremu – powiedział von Neaus. – Pilnujcie jej teraz dobrze, co by znowu do rzeki nie wpadła – ostrzegł.

- Panie, teraz już wszystko będzie dobrze. Razem z braćmi będzie chodzić do brodu i oni baczycy na nią będą. Wdzięczni ci, panie, jesteśmy, coś nam córkę uratował. Za tę przysługę racz przyjąć podarek od naszej rodziny, który sam zrobiłem – powiedział stolarz, podając aptekarzowi spore zawiniątko.

Von Neaus wzbraniał się bardzo, ale skoro wiadomym było, że zapłaty w monecie nie przyjmie, po długich namowach Joachima wreszcie zgodził się wziąć podarek. Gdy stolarz, kłaniając się wdzięcznie, opuścił aptekę, Neaus odwinął pakunek z gałganków i jego oczom ukazała się wyrzeźbiona w drewnie postać orła. Piękna to była rzeźba i przedstawiony w niej ptak wyglądał jak żywy.

- Nie spodziewałem się takiego paradnego podarunku – rzekł zachwycony aptekarz. – Usadzę tego orła w mojej pracowni jako symbol geniuszu i siły mądrości, co będzie zawsze przyświecać mojej i moich następców służbie – postanowił.

Bartek Świątecki



Prace Bartka Świąteckiego łączą w sobie abstrakcję i graffiti. Sztukę wysoką i kulturę młodzieżową, modernizm i skateboarding. Jego obrazy opierają się na geometrycznych skupieniach i kanciastych formach, które odwołują się do futurystycznych projektów architektonicznych. Pozorna gładkość prac Świąteckiego często stoi w opozycji ze zniszczonym otoczeniem, w których są one umieszczone. Wizualny język zastosowany w obrazach daje przelotne spojrzenie w śmiały, nowy świat, w którym graffiti i sztuki piękne wzajemnie się przenikają. Świat, w którym graffiti równie chętnie czerpie z De Stijl, co z Wu-Tang Clan.

Cedar Lewisohn





Jacek Smółka

BIBLIOTEKARZE NA FALI

**Czy bibliotekarz może być radiowcem?
Okazuje się, że tak. Przykładem jest audycja
w radiu UWM FM „Przystanek Planeta 11”.**



Fot. z archiwum autora

Pomysł prowadzenia własnej audycji pojawił się w 2011 r. Wtedy bibliotekarze z Planety 11 (multimedialnej filii Miejskiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie) stwierdzili, że warto byłoby mieć autorski program w radiu. Zwykle kontakty z mediami okazały się już niewystarczające. Poza tym prowadzenie swojej audycji wydawało się atrakcyjną perspektywą. Swoją propozycją zainteresowali radio UWM FM, które zgodziło się udostępnić swój czas antenowy.

Początkowo audycja była nadawana raz w miesiącu, ale szybko zwiększono częstotliwość i teraz bibliotekarze prowadzą „Przystanek Planeta 11” co tydzień. Warto zaznaczyć, że program jest nadawany „na żywo” i trwa godzinę. Jest to audycja w całości autorska. Bibliotekarze sami układają scenariusz audycji, dobierają piosenki i co więcej sami ją realizują. O ile pierwsze audycje odbywały się pod czujnym okiem dziennikarzy z radią, o tyle teraz „planetarianie” siedzą sami za konsolą i obsługują całą aparaturę.

Ktoś może się zastanowić: o czym jest ta audycja i czy można co tydzień przez godzinę rozmawiać o bibliotece? Okazuje się, że można, a tematów nie brakuje. Oprócz zapowiedzi imprez w Planecie 11,

są też prezentowane nowości książkowe, muzyczne, filmowe, często między prowadzącymi zawiązują się ciekawe dyskusje, nie brakuje odniesień do aktualnych wydarzeń, ale przede wszystkim – jako że jest to program „na żywo” – często coś wychodzi spontanicznie. Bibliotekarze często zapraszają do audycji gości, był też improwizowany koncert *unplugged*. Jednym ze stałych punktów jest także konkurs telefoniczny dla słuchaczy, w którym można wygrać abonament do Planety 11. Przy okazji jest też możliwość rozmowy i bliższego poznania osób, które słuchają radia.

Przygotowanie i prowadzenie audycji to stresujące i odpowiedzialne zajęcie. Jednak po kilku latach już jest pewne doświadczenie, które pozwala na swobodę i luz, który – mam nadzieję – słychać na antenie. Bibliotekarze z Planety wcześniej mieli pewne doświadczenia medialne, tzn. udzielali wywiadów, czasem gościli w innych radiowych programach, ale prowadzenie własnej audycji to zupełnie inna bajka. Na początku na pewno było trochę ciężko, ale w zamian za wysiłek otrzymuje się dużo korzyści. Przede wszystkim w takiej audycji samemu kreuje się wizerunek biblioteki oraz treści, które chcemy przekazać odbiorcom. Jest się niezależnym i od własnej inwencji zależy, jaki charakter będzie miał dany program. Poza tym zbiera się cenne doświadczenie, która ułatwia kontakt z innymi dziennikarzami, oswaja bibliotekarzy w świecie mediów. Jest to wspaniała promocja biblioteki, jej zbiorów. Jest to też pokazanie bibliotekarzy z nieco innej strony. W audycji każdy pokazuje siebie nieco prywatnie, mówi o swoich zainteresowaniach. Można nawiązać kontakt ze słuchaczami, czyli potencjalnie nowymi czytelnikami. Prowadzenie audycji daje dużą satysfakcję i prowadzący zgodnie podkreślają, że jest to przyjemne doświadczenie.

Bibliotekarze we współczesnym świecie muszą szukać różnych kanałów dotarcia do większej liczby odbiorców, często niestandardowych, i własny program jest właśnie jednym z nich. Wszystkich, którzy chcą posłuchać, co ciekawego do powiedzenia mają bibliotekarze z Planety 11 w swojej audycji, zapraszamy do słuchania w każdy czwartek o godzinie 13 na częstotliwości 95,9 fm.

Jacek Smółka – kierownik Planety 11, multimedialnej biblioteki młodych (filii Miejskiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie). W zawodzie bibliotekarza od 2005 roku. Organizator wielu imprez oraz prowadzący audycję radiową „Przystanek Planeta 11”.

Anita Romulewicz



Jestem biała, jestem czarna

Zebra, jaka jest, każdy widzi. Niezaprzeczalnym atrybutem tego niedalekiego krewniaka konia są paski. I to one czynią go rozpoznawalnym w bogatym świecie fauny. Ów charakterystyczny desień stał się nawet podstawą do nadania zebrze wymiaru symbolicznego. Na pierwszy rzut oka trochę czarna, trochę biała, kryje w sobie jeszcze inne, głębsze znaczenia. Nietrudno je odnaleźć w pięknej książce pt. *Zebra* napisanej dla młodszych dzieci przez debiutantkę – Ifi Ude.

Książka nowa, ale porusza temat stary jak świat – tolerancję dla odmienności w każdej postaci oraz budowanie szacunku wobec innych. Sama autorka – pół Nigeryjka-pół Polka – należy do grona pisarzy zaproszonych przez wydawnictwo „Poławiace Pereł” do publikowania w serii $1/2 + 1/2 = \infty$. W niej autorzy o podwójnej narodowości dzielą się swoim światopoglądem i dowodzą, że różnorodność jest piękna. Ifi Ude, aby o tym napisać, stworzyła uroczą bohaterkę – młodą Zebrę. Jej historia, opowiedziana z delikatnością właściwą książeczkom dla najmłodszych, rozpoczyna się pośród mazurskich lasów i łąk. Zwierzątko będące „owocem miłosego spojrzenia” swoich kochających się rodziców i od najmłodszych lat otaczane poczuciem bezpieczeństwa dorasta wśród koni różnej maści, doświadczając życia w stadzie, które rządzi się swoimi prawami. Mikroświat wykreowany przez Ifi Ude jest kwintesencją funkcjonowania w grupie niezależnie od szerokości geograficznej. Wszędzie na świecie bowiem dzieci uczą się przyjaźni i wspólnej zabawy. Bardziej dojrzałe przechodzą etap akceptowania własnej odmienności i wyjątkowości. I tak jak Zebra, która na pastwisku jako jedyna ma paski, krótki ogonek i sterczącą grzywkę, tak dzieci muszą polubić siebie.

Książka Ifi Ude odwołuje się do wartości bardzo uniwersalnych. Skierowana jest do małych dzieci, ale może być bardzo przyjemną lekturą także dla nieco starszych czytelników. Mierzy się w sposób przejrzysty z przejawami nietolerancji, obrazowo ukazując przy tym proste rozwiązanie: zaoferuj innym to, co masz najlepszego w sobie, a twoje „znaki szczególne” staną się powodem do dumy. Bo świat nie jest przecież czarno-biały, tak samo jak końskie grzbiety ma wiele wzorów i kolorów. Lektura wcześniej przygotowuje też dzieci na okres nastoletniej koncentracji na własnym wyglądzie i związanymi z tym wyborami.

Zebra jest niewielką książeczką, która mieści w sobie wyjątkowo dużo dobrego. Poza głównym tematem – niejako w tle – dyskretnie i mądrze wychowuje, tworzy aurę spokoju, niezbędną do przemyśleń. Jej kompozycja i niezwykle staranna grafika współpracują na rzecz stworzenia idealnych warunków do mądrej lektury. Są książki, gdzie cisza gra większą rolę niż samo słowo. Opowieść o Zebrze do takich właśnie należy. Nieprzegadana zmusza wyobraźnię dziecka do intensywnej pracy, zostawiając przestrzeń dla rozbudzonych emocji i intelektu.

Szczególną rolę pełnią w niej ilustracje. Czeska artystka, Nežka Šatkov, w każdym detalu jakby wycinankowego świata zawarła dawkę optymizmu. Zanim jeszcze dziecko otworzy książkę, poznaje bohaterkę, która unosi wysoko głowę ku niebu, ciesząc się widokiem ptaków i ciepłymi promieniami słońca. Kolejne strony zdobią korale jarzębiny, chabry (czy jak kto woli bławatki), owoce malin i jabłonie ciężkie od owoców.

Na wysoki poziom artystyczny książki złożyły się nie tylko talent autorki i wyobraźnia ilustratorki. Publikacja jest też doskonale przemyślana pod względem edytorskim. Nie przytłacza małego czytelnika nadmiarem tekstu. Ma właściwą kompozycję poszczególnych stron umożliwiającą wspólne czytanie z rodzicem, stonowane barwy, przyjazny format i rebus na deser.

Warto zadać sobie na koniec pytanie: dlaczego autorka wybrała Mazury na dom dla tytułowej Zebrzy? Sądzę, że powody mogą być przynajmniej dwa. Pierwszy to krajobraz z bocianami na dachach domostw i rozległymi pastwiskami, gdzie konie mają idealne warunki do życia. Bo nie zapominajmy, że Mazury to cud natury, gdzie aurę spokoju i relaksu gwarantują wszystkie foldery agroturystyczne. Drugi to przeszłość Mazur, która tak pomieszała losy ludzi, że dziś wielu z mieszkańców regionu ma mocno splecione korzenie i śmiało może o sobie powiedzieć, że są trochę biali, trochę czarni.

Ifi Ude, Zebra, Warszawa, 2013.

Anna Buchalska

Wrażliwość

Przez szklane serce widać cały świat
 Nie tylko miłość
 Rozkwitają sady kuszących jabłoni
 Wiara w dobro ludzi
 Z różnych szkółek życiorysu
 Ból co rozbić może serce jak kryształ
 Na sto kawałków
 I jeszcze jeden więcej
 Ten jeden
 Co z promienia słońca
 Rozpali ogień
 Przy którym ogrzeje się
 Dziadek mróz
 I Ty
 Potokiem wody spłynie po policzku
 Zbędne zimno
 Rozbije się o chodnik
 To kałuża nie krew

Popatrz tam...

Popatrz tam gdzie nie wolno
 Rany zszywaj dotykiem natchnienia
 Zobacz jak tańczą
 Na granicy znudzenia
 Połamane kręgosłupy
 Zalane łzami twarze
 Bezduzne oczy
 Zaklejone strachem usta
 Przerrywam ciszę
 Śmiech
 Niepoważny motyw bezradności
 Krok
 Tnę powietrze
 Osobista barwa cienia
 Czarne spojrzenie różowe okulary – sen
 Czarne stopy różowe buty – marzenia
 Czarne dłonie róża – fałsz
 Pragnienia uwieńczone obłudą
 Wciąż za rogiem czeka niemożliwe
 Jesteśmy Dziećmi polnych kwiatów
 Ptaków z białymi piórami
 Z walizką przeznaczenia na kółkach
 Plecakiem wspomnień

Miłujmy mniejsze dobro
 Nawet ono ma dar istnienia
 Mamy przecież prawo wyboru

Wczoraj...

Wczoraj zapytało mnie dziecko
 „A co gdyby tam gdzie morze nie było wody”
 Niby igłą przeszły we mnie dwie warstwy
 Ducha i cielesności
 Trzymałam się ledwie na jednej nitce
 A gdyby zapytało mnie o miłość
 Której zabrakło w sercu
 Łzy strugami omywałyby policzki
 Leciły iskry z wypalonych oczu
 Na miejscu serca
 Otwarta pustka
 To musiałyby być straszne
 To musiałyby boleć

Marta Chrostowska

WiM

Ogarniająca zieleń.
 Krzew za krzewem stoi.
 Twarz soczysta,
 wymięsista.
 Boso stąpając po niej
 w kolorach czerwieni i bieli.

Cisza

Cisza jest głucha,
 nie przyjdzie na wezwanie.
 Cisza jest nietowarzyska,
 ucieka od ludzi.
 Cisza jest wybredna,
 nie przyjdzie do byle kogo.
 Dlatego ciesz się chwilą
 z ciszą.
 Nie wołaj – sama przyjdzie.
 Nie szukaj jej w grupie,
 lecz w pojedynkę.
 Czeka, bądź wytrwały.

Ciszę chwal milczeniem

Wiara, poglądy, pochodzenie, stan zdrowia, winy przeciw społeczeństwu i kary za nie oraz tzw. sprawy intymne nazywamy informacjami wrażliwymi. Czyż nie są naszymi czułymi punktami? Mamy prawo je chronić, możemy otoczyć ciszą, a inni wobec nich powinni zachować milczenie. Tomik urodzonego w Mrągowie kapłana, Norberta Bujanowskiego, zatytułowany *Cisza* przedstawia milczenie otaczające wiarę i samotność – bardzo czułe punkty wielu ludzi. Tak czułe, że mogą zarówno stanowić ranę czy bicz w czymś życiu, jak i sens ludzkiego istnienia – i właśnie ta zagadka stała się inspiracją do powstania powyższej publikacji. *Cisza* stanowi bowiem – paradoksalnie – głos szczyńskiego klasztoru Mniszek Klarysek Kapucynek. Jest też temu miejscu dedykowana. Czy może być w obecnych czasach coś bardziej irracjonalnego niż życie w niewielkiej enklawie pod herbem milczenia i ideologicznych ograniczeń? Istotę odpowiedzi na to pytanie oddaje wers poety – „Cicho się odchodzi by naprawdę żyć” – przy czym akcent w zdaniu pada na słowo „naprawdę”.

Tomik został ustrukturalizowany według najnaturalniejszego, niezmiennego porządku czterech pór roku i to ten klucz układa wiersze oraz rozmyślenia o sprawach niepowседневnych w cztery cykle. To znak, że nie dotyczą one właściwie dogmatów i świętości, lecz filozofii i metafizyki, które – wbrew nieuwadze niektórych – są obecne w życiu codziennym każdego. Które są nam tak bliskie i tak w nas wrosnięte jak dokonujące się na naszych oczach zmiany w przyrodzie. Całość publikacji budują przede wszystkim teksty poetyckie – proste w formie zapisy urywków myśli, czasem pojedyncze słowa, w których to konstrukcjach znalazło się wiele odniesień do literackiego świata (czy raczej światów) duchowości: do pereł mistycznych, nieszpórów powietrza, labiryntów światła i gór prorockich. Resztę dopowiadają innym głosem zapiski *quasi* pamiętnikarskie. „Quasi”, gdyż mają wiele wspólnego z realizmem magicznym łamanym przez realizm mistyczny. Notujący toczy w nich dialog z towarzyszącym mu w klasztornej codzienności Psem Pustelnikiem oraz Głosem. Otaczają ich sosny, jezioro, zajęte swoimi sprawami zwierzęta i Cisza. Pies Pustelnik w swisty, milczący sposób zadaje człowiekowi wyłączenie pytania lub po prostu wszystko obserwuje i dlatego też jako jedyny wśród opisywanego świata nazywany jest czasem Psem Ciszy. To jakby określenie Oświeconego... Pies pełni też rolę pośrednika z Głosem, jego bezpośredniego postać i przedstawiciela. A może Cisza i Głos, z którym rozmawia Notujący, są tym samym? Tak czy owak Cisza to centrum opisywanego przez Notującego świata i wszystko w niej jest, zmienia

się i do niej należy. Ona zdobywa, ona rozwała, ona kroczy jak wojownik. Ona uczy, ona leczy, ona koi. Jest otchłanią, jest odejściem, jest pustką – i choć niby prozaicznie ją tworzy brak dźwięku, tak naprawdę to cisza jest wszystkim. Jest też tajemnicą łączącą śmierć z życiem, gdyż zarówno najlepiej towarzyszy smutkowi opuszczenia, jak i najpełniej oddaje zdumienie powstaniem z martwych.

Zapiski oddają jedno pragnienie Notującego, chce „być milczeniem” – czyli ciszą. Wtopić się w to, co go otacza, i stać się doskonałym nie-sobą. Jednocześnie wyznaje, że chyba lęka się świata, który w nieokreślonym czasie „kiedys” opuścił. Miasto, do którego czasem wraca wspomnieniami, miasto-metafora, gdyż oznacza cały współczesny świat, to w jego pamięci splot paradoksu. Ta przerażająca nadmiarem bodźców pustynia, która stanowi zarazem siedzibę pustki i stolicę hałasu. Obraz ten ujawnia w ten sposób podszewkę naszego uniwersum i reguły naszej codzienności: płytkość, zagłuszanie, pośpiech, bezmyślność. Notujący opuścił to wszystko bez żalu, aby wreszcie usłyszeć własne prawdziwe myśli i móc zapisać je w adekwatnych słowach, gdyż dopiero „z milczeniem (...) myśli staje się czysta”. I oto w wierszach rzeczywiście wymykają mu się frazy pełne życia i emocji, po prostu czułe i piękne: gdy jego „myśli płoną ogniem żywym”, „wnętrze otwiera [się] krwawymi słońcami”, a „drzeworyt czasu ożywa jak szkielety”. Czy jednak tylko po to jest cisza potrzebna? Do jasnego myślenia, mocnego przeżywania, głębokiego odpoczywania? Nie, to za mało – jest potrzebna do wszystkiego. Pies Pustelnik odpowiada: „Nie myśl, tylko szukaj”. Aż chciałoby się dodać – nie mów, tylko słuchaj. Notujący nie zachęca w ten sposób do bezmyślności, ale wyłączenia gonitwy myśli na rzecz – buddyjskiej, chciałoby się przekornie rzec – świadomości. Ale to również świadomość rodem z myśli franciszkańskiej – oraz wielu innych. Ona pozwala metaforycznie położyć się na powierzchni wody w całym ufnym bezwładzie i powierzyć odpowiedzialność za siebie czemuś większemu – nieskończonej Ciszy. Ostatnim pytaniem, jakie stawia sobie Notujący, jest to o przyszłość. Czy ojczyzna ciszy zachowa go od chaosu wiecznego? Odpowiedzią staje się trzykropek – niedopowiedzenie na zawsze zastygłe w wierze: „Kiedy liście już opadną / A mój papieros / Ostatni raz dymem sapnie / Jak stara lokomotywa / I na nagrobkach Memento... / Odnajdę / Wtedy tylko jedno powiem // Ojczy Nasz...”.

Bujanowski Norbert, Cisza, Niepokalanów, [2010].

Stanisław Czachorowski

Kij w mrowisko – po co naukowiec kulturze?

Mrówki bywają agresywne. Bronią swojego gniazda, gryzą żuwaczkami, żądają, polewają kwasem mrówkowym. Mimo że są to małe stworzenia, to jest ich dużo. Czy warto więc wkładać kij w mrowisko? Szympany tak robią – po chwili wyjmują patyk z mrowiska i szybkim ruchem zdejmują mrówki, by je zjeść. Wymaga to wprawy. Inaczej kończy się to boleśnie i koniecznością szybkiej ucieczki. Wkładanie kija w mrowisko jakkolwiek jest ryzykowne, to przynosi korzyści. W sensie intelektualnym jest podobnie.

Nauka jest elementem kultury. Nauki przyrodnicze zostały zechnięte na margines kultury popularnej, a nawet kultury oficjalnej, i tak zwanej wysokiej. Nauki ścisłe zostały niejako wypchnięte z życia publicznego i zamknięte w swoim specjalistycznym getcie. Nierzadko humanista z samozadowoleniem podkreśla, że nie zna się na fizyce, matematyce, czy biotechnologii. Nieznajomość podstawowych praw naukowych podkreślana bywa z dumą – przecież jestem humanistą, nie jest mi to potrzebne. Czyżby? Czy można zrozumieć świat wokół nas i samą kulturę bez nawet elementarnej wiedzy przyrodniczej? Znacznie rzadziej można usłyszeć głos scjentyisty, że nie chodzi do teatru, filharmonii, czy nie czyta literatury pięknej. Nawet, jak nie czyta i nie ogląda, to raczej uznaje to za rzecz wstydliwą i się z tym nie obnosi.

Teraz przyszła „zemsta” ludzi drugiej kategorii w kulturze (życiu kulturalnym). Przyrodnicy nie rozumieją humanistyki, więc ją eliminują jako nierynkową, zbędną w edukacji zawodowej na poziomie wyższym. Nieporozumienia między przyrodnikami i humanistami, a nawet artystami, biorą się z niezrozumienia i wzajemnego wyizolowania. Najwyższa pora spotykać się i dyskutować, by się wzajemnie zrozumieć i poznać. Po co jest filozofia człowiekowi, a po co fizyka i biologia, a po co jest sztuka?

Nauki przyrodnicze są częścią kultury, także tej popularnej. Widać to nawet w mediach, tabloidach, internecie. Ba, widać to nawet na ulicznych murach, czego dobrym przykładem jest olsztyński mural pod wiaduktem kolejowym przy ul. Bałtyckiej. Artyści wypowiadają się o GMO... ale czy z sensem? Widać dużo niezrozumienia, pomyłek i elementarnego braku wykształcenia w tym zakresie. Nagminnie, nie tylko dziennikarze, ale i akademicy humaniści, zapisują nazwę gatunkową człowieka jako *homo sapiens* zamiast *Homo sapiens*, i to nawet w książkach wydawanych przez wydawnictwa naukowe. To tylko ilustracja i symboliczny przykład. I idę o zakład, że wielu czytelników nie wie, o co mi chodzi, bo co za różnica w tym zapisie? A co za różnica między lud i lód?

Wiek XIX i początek XX były okresem dominacji fizyki. Obecnie mamy wiek biologii. Bo to te nauki wnoszą ogromny, inspirujący i prowokacyjny wkład najpierw w filozofię, potem w dyskusje życia codziennego (albo na odwrót). Przykładem niech będą różnorodne spory o ewolucję, wpływ genów na nasze życie, czy GMO (organizmy modyfikowane genetycznie). Obecność nauk biologicznych w ostatnich dziesięcioleciach widoczna jest w przestrzeni publicznej bardzo wyraźnie. Niezaprzeczalnie wpływa na naszą kulturę, także tę tradycyjnie rozumianą jak film, teatr, literatura, sztuki plastyczne czy nawet streetart.

Obecność nauki w przestrzeni publicznej to także szkolna dydaktyka, czy popularyzacja wiedzy. Prosty język nie oznacza banalnych i nieważnych tematów. Warto uświadamiać sobie różnice w języku. Nauki ścisłe kładą nacisk na precyzję wypowiedzi (stąd czasami publikacje naukowe wydają się nudne). Humanistyka i sztuka kładą nacisk na estetykę języka (wtedy czasem precyzja wypowiedzi jest zatracana) lub ekspresję obrazu. Warto uświadomić sobie te różnice – wtedy łatwiej o zrozumienie i wzajemną inspirację oraz przenikanie.

Gdzie rozmawiać głośno o kulturze? Humanisci sobie, przyrodnicy sobie, artyści sobie w izolowanych kręgach? To bezproduktywne. Potrzebne są spotkania interdyscyplinarne, by wzajemnie się od siebie uczyć (a najpierw słuchać). Przykładem nowych form jest kawiarnia naukowa, zyskująca coraz większą popularność także i w Olsztynie.

Trzecia kultura według Johna Brockmana to uczeni i myśliciele badający empirycznie świat. Czyli przedstawiciele nauk przyrodniczych, scjentyści. To naukowcy, którzy dzięki swym pracom i piarstwu przejmują rolę tradycyjnej „humanistycznej” elity intelektualnej w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania od zawsze nurtujące ludzkość: czym jest życie, kim jesteśmy, dokąd zmierzamy, jaki jest sens istnienia. Trzecia kultura to swoiste wyjście ludzi uniwersytetów na „ulicę” i bezpośredni dialog ze społeczeństwem. To opowiadanie o tym, co dzieje się w laboratoriach fizyków, chemików, matematyków, biologów, biotechnologów. Wychodzenie poprzez spotkania w kawiarni naukowej, książki popularnonaukowe, blogi, wypowiedzi w mediach popularnych.

W potocznej kulturze zbyt dużo nagromadziło się wyeksploatowanych faktów, dawno odkrytych, dawnych przemyśleń i konstatacji. Wielu humanistów bezproduktywnie to przetwarza. Zbyt „przetrawiona” kultura potrzebuje nowości, bo wiele intelektualnych „elit” skupiona jest wyłącznie na sobie i na tworzeniu komentarzy do komentarzy, czy na krytyce krytyki itd. Można odnieść wrażenie, że

wielu humanistom urwał się już kontakt z rzeczywistością, że mówią sami do siebie.

W potocznej kulturze, poszukującej odpowiedzi na najistotniejsze pytania człowieka, wykluczono przyrodników. Długie lata oczekiwano, że to humaniści staną się pośrednikami między naukami ścisłymi a społecznością. Że przełożą zawiły, ale precyzyjny, język na piękne i proste słowa. Uczni tworzący tak zwaną trzecią kulturę sami chwycili za pióra i językiem prostym objaśniają najbardziej zawiłe aspekty rzeczywistości, bezpośrednio opowiadając o swoich przemyśleniach, wątpliwościach, teoriach i odkryciach. W ten sposób liczne elementy nauki trafiają coraz szerszym nurtem do ogólnej kultury. Bo nauka jest źródłem nowości, niezmiernie ożywczej dla kultury w szerokim sensie.

Jeszcze do niedawna komunikowanie o odkryciach nauki powierzano tak zwanym popularyzatorom, najczęściej dziennikarzom, lub osobom spoza głównego nurtu uniwersyteckiego. Bo popularyzacja wydawała się czymś niegodnym porządnego naukowca-przyrodnika. Codziennie na łamach prasy, na antenie radia czy telewizji pojawiają się tematy dotyczące biologii molekularnej, sztucznej inteligencji, teorii chaosu, teorii wszechświata inflacyjnego, kwarków, fraktali, superstrun, bioróżnorodności, nanotechnologii, bioniki, genomiki, cyberprzestrzeni, hipotezy Gai i setek innych.

Trzecia kultura to naukowcy poszukujący autentycznych praw dotyczących ludzi, ich świadomości, struktury Wszechświata, a jednocześnie osobiście uczestniczący w badaniach naukowych. Piszą językiem prostym o swoich badaniach nie tylko dla szerokiej publiczności, ale także dla naukowców innych specjalności, w tym dla humanistów i artystów. Niestety język prosty nie jest ceniony. Bo mętne wypowiedzi uznawane są za trudne, a więc mądre.

Coraz bardziej widać obecność nauk empirycznych w kulturze nawet naszego miasta. A przecież to zjawisko globalne, a nie lokalne. Pewien rodzaj wizji naukowych nie ma szansy na zaistnienie w tradycyjnych publikacjach naukowych, czy na specjalistycznych konferencjach. Filozofujący naukowcy istnieli od wieków, w znaczący sposób wpływając na kulturę ogólną. Jednym z większych współczesnych problemów jest syntetyzowanie wiedzy.

Olsztyńska kawiarnia naukowa Klubu Profesorów Collegium Copernicanum wyrosła z potrzeby spotykania się naukowców różnych specjalności: humanistów i przyrodników, a także artystów, z potrzeby spotykania się z tak zwanymi „zwykłymi” ludźmi. Konieczność mówienia językiem zrozumiałym dla niespecjalistów pomaga w lepszym formułowaniu myśli. Może przestrzeń zmieniającej się funkcji biblioteki publicznej będzie przyjazna i ożywcza dla tego typu spotkań? Spotkań interdyscyplinarnych o kulturze szeroko rozumianej, bez eliminacji nauk przyrodniczych.

Fotokomiks – Elwira Iwaszczyszyn



Krzysztof D. Szatrawski

Pod sztandarem Polish Jazzu

Gdybyśmy chcieli znaleźć w polskiej fonografii dokonanie, które odmieniło losy polskiej muzyki, a przy tym stało się znakiem rozpoznawczym całej klasy zjawisk, to seria płyt „Polish Jazz” spełnia tę rolę z nadstatkiem. Wydawana na przestrzeni ćwierćwiecza przez Polskie Nagrania stała się ważnym elementem pejzażu kulturowego, zaznaczając czytelnym logo swoje miejsce na wystawach księgarń i sklepów muzycznych.

Początki jazzu w Polsce sięgają okresu przedwojennego, kiedy nurt ten obejmował głównie orkiestry taneczne. Podobnie zresztą działo się w innych krajach europejskich i za oceanem. Tradycje tanecznego jazzu kontynuowano w pierwszych latach po wojnie. Już w tym okresie dokonywano pierwszych nagrań i były to płyty jak najbardziej oficjalne, część tych rejestracji została wznowiona w 1975 r. na płycie *Polish Jazz Archive Series vol. 1 – Post-War Dance Bands*. Nie publikowano natomiast coraz odważniejszych prób grania jazzu nowoczesnego, wręcz odwrotnie – w dobie radosnych ekspozycji ideowych, opiewających odbudowę kraju i nowy porządek, jazz nowoczesny traktowano jako muzykę podejrzaną i obcą. Tymczasem w nieoficjalnym obiegu pojawiły się oryginalne zjawiska i osobowości, które po latach miały zbudować polską szkołę jazzu.

Przełom nastąpił w 1956 r., podczas Festiwalu Jazzowego w Sopocie. Muzyka nie tylko wyszła z podziemia, ale natychmiast została zaakceptowana przez znaczną część młodego pokolenia. Debiutujący wówczas muzycy, Jan Ptaszyn Wróblewski, Zbigniew Namysłowski i ich starsi o kilka lat koledzy – również z roczników trzydziestych – Krzysztof Komeda, Andrzej Kurylewicz i Andrzej Trzaskowski stworzyli fundamenty zjawiska określanego mianem „polskiej szkoły jazzu”. Wkrótce po przeniesieniu festiwalu do Warszawy, po 1958 r., zadebiutowała grupa młodych, urodzonych w latach czterdziestych muzyków, czyli Adam Makowicz, Janusz Muniak, Tomasz Stańko, Michał Urbaniak, Mieczysław Kosz, Zbigniew Seifert i Tomasz Szukalski. Ta eksplozja nowoczesnej i oryginalnej muzyki stała się sensacją w Europie, wkrótce została zauważona i doceniona także za oceanem.

W końcu lat 50-tych jazz był czymś więcej niż samą muzyką, był stylem życia, ekspresją postaw, alternatywną przestrzenią, w której odnajdowała się coraz większa część społeczeństwa zmęczonego propagandą jednomyślności. W tej sytuacji dyrektor artystyczny Polskich Nagrań Ryszard Sielicki oraz dyrektor programowy tej wytwórni Andrzej Karpiński przygotowali serię płyt, które mogłyby zaspokoić potrzeby publiczności tak bardzo żłaknionej muzycznej wolności.



Fot. okładki ze zbiorów WBP w Olsztynie

W końcu w 1965 r. pod wspólnym hasłem „Polish Jazz” rozpoczęto wydawanie woluminów prezentujących dorobek polskiego jazzu. Pierwszy okres istnienia serii, do końca 1967 r., zaowocował nagraniem 15 płyt. Była to seria nie tylko podsumowująca 10 lat oficjalnego funkcjonowania jazzu w Polsce, ale również świetnie pomyślany produkt eksportowy. Podobnie jak inna seria, której pomysłodawcą i producentem był Ryszard Sielicki, znakomita „Musica Antiqua Polonica”, „Polish Jazz” stał się atrakcyjną marką czytelną również dla nabywców zagranicznych. Nie tylko nazwy tych serii ale i dwujęzyczne okładki miały wyraźnie promocyjny charakter, odróżniały się pod względem graficznym i edytorskim.

Czołówkę serii stanowiły płyty przełomowe, nowoczesne, znakomicie przygotowane. Poza pierwszym wolumenem „Warsaw Stompers”, który był składanką wcześniej wydawanych nagrań jazzu tradycyjnego, kolejne płyty były panoramą najważniejszych zjawisk polskiego jazzu nowoczesnego, poczynając od Big Bandu Polskiego Radia pod dyktando Andrzeja Kurylewicza (vol. 2), poprzez *Polish Jazz*

Quartet Jana Ptaszyna Wróblewskiego z Wojciechem Karolakiem (vol. 3), kwintet Andrzeja Trzaskowskiego (vol. 4) i *Astigmatic* Krzysztofa Komedy (vol. 5), która jest jedną z najważniejszych płyt w historii polskiego jazzu, po wydaną już w 1966 r. płytę Quartetu Zbigniewa Namysłowskiego (vol. 6). Dalsze płyty były rejestracjami zespołów tradycyjnych „Ragtime Jazz Band”, „Jazz Band Ball” oraz Swingtetu Janusza Zabieglńskiego (vol. 9). Kolejne woluminy to dalsze poszukiwanie różnorodności i próba ujęcia wszelkich, czasami bardzo odległych postaw artystycznych. W katalogu sąsiadują satyryczne stylizacje zespołu „Hagaw” i pierwszy LP „Novi Singers” *Bossa Nova* (vol. 13), prezentacja laureatów studenckiego festiwalu „Jazz nad Odrą” i kamień milowy polskiej awangardy jazzowej – *Ten+Eight* Andrzeja Kurylewicza.

Kres pierwszej serii „Polish Jazzu” położyła kampania antysemitcka, w wyniku której pomysłodawca i opiekun serii Ryszard Sielicki stracił pracę. Po trzech latach serii, w 1968 ukazała się tylko jedna płyta – nagrany jeszcze w listopadzie 1967 r. przez Trio Włodzimierza Nahornego – *Heart*. W 1969 r. seria powróciła. W latach siedemdziesiątych seria była kontynuowana jako jeden z flagowych projektów Polskich Nagrań, a liczba premier wahała się między 2 i 6 rocznie.

Również w latach siedemdziesiątych nie zabrakło płyt wybitnych. Tu na myśl przychodzi *Music for K* (vol. 22) i *TWET* (vol. 39) Tomasza Stańko, *Live* (vol. 24) i *Constellation* (vol. 36) Michała Urbaniaka, *Unit* (vol. 35) i *Live Embers* Adama Makowicza (vol. 43). „Polish Jazz” promował muzykę i muzyków, wkrótce po wydaniu tych płyt Urbaniak i Makowicz rozpoczęli swoje kariery za oceanem, a większość artystów związanych z serią stale koncertowało poza granicami kraju. Do wydarzeń artystycznych należały również płyty Zbigniewa Namysłowskiego, choćby *Winobranie* (vol. 33) czy *Kujawiak Goes Funky* (vol. 46). Kreatywne nawiązania do polskiego folkloru, które pojawiały się we wczesnych aranżacjach Zbigniewa Namysłowskiego, także na płycie „Warsaw Stompers” (vol. 1), z czasem stały się jego znakiem rozpoznawczym, a nawet jedną z ważnych cech wyróżniających polski jazz. Namysłowski był ich mistrzem, ale i wielu innych, zwłaszcza pianistów, również nawiązywało do specyficznie polskich idiomów.

W połowie lat siedemdziesiątych pojawiła się druga fala polskiej szkoły, zespoły grające jazz elektryczny, brzmieniowo zbliżony do *fusion*. W 1976 r. niemal równocześnie wychodzą płyty *Birthday* zespołu „Extra Ball” (vol. 48) i *Modern Pentathlon* (vol. 49) krakowskiej grupy „Laboratorium”, a 3 lata później znów w parze *Quasimodo* „Laboratorium” (vol. 58) i *Go Ahead* „Extra Ball” (vol. 59). Pozycje w serii były nadawane według planu i z myślą o sprawozdaniach.

Załamaniem przyszło po roku 1981, a konkretnie po stanie wojennym. Wprawdzie w 1982 r. siłą inercji ukazały się 2 płyty, jednak *de facto* po stanie wojennym seria była już zawieszona. Jeszcze w 1984 r. wydano jeden, nagrany dwa lata wcześniej album Tomasza Stańko *Music 81* (vol. 69). Później zapadła cisza. Próbę powrotu do serii Polskie Nagrania podjęty w roku 1987. Ukazało się 5 płyt i – podobnie



Fot. okładki ze zbiorów WBP w Olsztynie

jak 22 lata wcześniej – zostały one dobrane tak, aby objąć możliwie szeroką panoramę polskiej sceny jazzowej: był jazz tradycyjny i nowoczesny, była płyta *Open* zespołu Zbigniew Namysłowski Quartet „The Q” (vol. 74) i *Young Power* (vol. 72). Ale też nie były to dobre czasy dla jazzu nie tylko w Polsce, lecz i na świecie. Kolejny rok nie przyniósł nowych wydawnictw. Ostatnie dwa albumy ukazały się w roku 1989 – zespołu Prowizorka Jazz Band (vol. 75) oraz debiutancki album Lory Szafran *Lonsome Dancer* (vol. 76).

Oczywiście polski jazz to znacznie więcej niż seria „Polish Jazz”, znakomite płyty powstawały również poza wydawnictwami seryjnymi. W serii zabrakło płyt Zbigniewa Seiferta, Tomasza Szukalskiego, Urszuli Dudziak i wielu innych. Każda seria poza walorem promocyjnym ma w sobie także coś z autorytatywnego wyboru. A ludzie jazzu zawsze byli raczej za podważaniem autorytetów niż człołobitnością. Mimo to twórcom serii „Polish Jazz” udało się utrwalić wartościowy obraz polskiej sceny w czasach PRL, co jest miarą dojrzałości środowiska i związanych z nim osobowości.

W Muzotece Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie odbywają się „Muzyczne (ko)repetycje” – wykłady poświęcone różnym zagadnieniom muzyki klasycznej i współczesnej. Spotkania te są okazją do ponownego odkrycia motywów już znanych, ale i konfrontacji z nowymi tematami. Prelekcje Krzysztofa D. Szatraskiego są bogato ilustrowane fragmentami utworów, a uczestnicy mogą skorzystać z bogatych zbiorów Muzoteki, by rozwijać swoje pasje muzyczne.

Prezentowana w artykule Krzysztofa D. Szatraskiego seria „Polish Jazz” oraz „polska szkoła jazzu” były tematem drugiego spotkania z cyklu „Muzyczne (ko)repetycje”.

Miłośników muzyki zapraszamy 24 kwietnia 2014 r. o godz. 16.30 na wykład pt. „Pieśń w estetyce romantyczne”.

Izabela Lewandowska

O potrzebie ochrony niematerialnego dziedzictwa Warmii, czyli jaka wartość tkwi w relacjach ustnych

Do zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie trafiło niedawno krótkie (4'53") nagranie wypowiedzi Agnieszki Szuchowskiej, urodzonej 18 stycznia 1913 r. w Nagładach (gm. Gietrzwałd), zmarłej 20 lipca 2007 r. w Godkach (gm. Jonkowo). Nagranie przekazała Barbara Kazimierczak, wnuczka rozmówczyni, która zarejestrowała je w lipcu 2004 r.

Agnieszka Szuchowska wywodziła się z rodziny zakorzenionej na Warmii od pokoleń. Ojciec, August Retkowski, przeszedł z ewangelicyzmu na katolicyzm, by poślubić przyszłą matkę swych dzieci, Justynę Szulc. Agnieszka była najmłodsza z 11 dzieci, troje z nich zmarło w wieku niemowlęcym. Jej mąż, Paweł Schuchowski, pochodził z Malborka. Respondentka mieszkała w Nagładach, Wrzesinie i Godkach, choć jak sama mówi – w jednym miejscu przez 50 lat. W swoim życiu posługiwała się językiem warmińskim, polskim i niemieckim.

Relacja nie jest ukierunkowana na żaden konkretny temat, monolog toczy się płynnie, wypowiedź jest klarowna, wyraźnie słyszalna i konkretna. Agnieszka Szuchowska wspomina swoją mamę, rodzeństwo, męża. Nie może się nadziwić, że tak długo żyje (w czasie nagrania ma skończone 90 lat). Kilka zdań poświęca kwiatom, które bardzo kocha i otacza się nimi codziennie. Najbardziej jednak wartościowe z punktu widzenia kultury i historii regionu są jej wspomnienia dotyczące języka, którym posługiwała się w dzieciństwie i młodości.

Język – jako nośnik niematerialnego dziedzictwa – jest jednym z najważniejszych elementów wymienianych w Konwencji UNESCO z 2003 r. o ochronie niematerialnego dziedzictwa kultury. Konwencja ratyfikowana przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej w październiku 2010 r. weszła w życie w sierpniu 2011 r. Państwo polskie podpisało ją jako 135 kraj, a więc bardzo późno. Mamy na tej płaszczyźnie sporo zaniedbań. Żadne z polskich (w rozumieniu państwa, a nie narodowości) elementów dziedzictwa nie zostało jeszcze wpisane na utworzone w tym celu trzy zestawienia: 1) listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego wymagającego pilnej ochrony, 2) listę reprezentatywną

niematerialnego dziedzictwa kulturowego, 3) rejestr najlepszych praktyk w celu ochrony niematerialnego dziedzictwa kulturowego. A przecież mamy w Polsce wiele tradycji godnych zachowania, chociażby podhalańskich, śląskich, łowickich, kurpiowskich czy kaszubskich. Wśród wymienianych w konwencji elementów niematerialnego dziedzictwa znalazły się ustne tradycje i formy wyrazu (szczególnie język); zwyczaje, rytuały i uroczystości świąteczne; wiedza o przyrodzie i wszechświecie oraz związane z nią praktyki; umiejętności tradycyjnego rzemiosła, jak również narzędzia, obiekty i związane z nimi przestrzenie kulturowe. Tym samym również w kulturze tradycyjnej Warmii znalazłoby się kilka elementów godnych upamiętnienia dla przyszłych pokoleń.

Przykładem naszej bogatej spuścizny jest chociażby analizowana relacja Agnieszki Szuchowskiej. W swej krótkiej wypowiedzi wspomina o Andrzeju Samulowskim i prowadzonej przez niego działalności czytelniczkiej i propolskiej, o gwarze warmińskiej, w której była wychowywana w dzieciństwie, o języku niemieckim, którego nauczyła się dopiero w szkole. Cała wypowiedź toczy się w języku polskim, choć pani Agnieszka w niemieckim recytuje wiersz i śpiewa piosenkę o Warmii. W nagraniu nie wtrąca natomiast wyrazów warmińskich i stara się mówić czystą polszczyzną, choć – jak informuje jej wnuczka – na co dzień mówiła, używając w większości gwary. Choć uważała się za Warmiaczkę, wiersze i piosenki wyuczone w szkole powtarza w oryginale, co świadczy o głębokim wpływie niemieckiej edukacji w okresie przedwojennym.

Aby poprawnie zanalizować relację ustną, trzeba mieć sporo informacji o rozmówcy. Można je uzyskać z literatury i prasy (o ile jest to osoba znana) lub od żyjącej rodziny. W przypadku braku takich informacji obowiązek ten spada na badacza, który przeprowadza wywiad. W przeciwnym razie nie zrozumiemy głębi wypowiedzi, które wypływają z serca rozmówcy i które same w sobie są również wartością wartą upamiętnienia.

Agnieszka Schuchowska

Fragmenty nagrania z 2004 r. Całość nagrania dostępna w zbiorach Dokumentów Życia Społecznego w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie. Zawiera m.in. recytację wiersza szkolnego, tekst dziecięcej rymowanki, wykonanie O Warmio moja miła. Poniższy zapis wybranych fragmentów jest spolszczony (nieuwzględniający specyficznej wymowy).

Nazywam się Agnieszka Schuchowska. Urodziłam się w Nagładach. Mam teraz, obecnie, dziewięćdziesiąt jeden lat. W Nagładach mieszkałam pięćdziesiąt lat. Tam mój dom się podczas wojny spalił. Moja matka była urodzona w Szelągowie. [...]

Mój mąż już teraz nie żyje dwadzieścia lat. A ja jestem dalej u córki.

Gdy byłam małym dzieckiem, to tylko mówiliśmy w domu po polsku, ale po warmińsku po polsku. To gdy do szkoły poszłam, to mi było tak bardzo ciężko mówić, ale potem, później się nauczyłam i dałam sobie radę. Mój ojciec pochodził z Tomaryn i umiał bardzo dobrze po polsku czytać, i zawsze pożyczał książki od Samulowskiej. To przychodzili zimą, wieczorem ludzie z wioski do nas i zawsze

mieliśmy dom pełen ludzi, bo ojciec czytał im po polsku, tak, z tych książek, to tak chętnie słyszeli.

Nie myślałam, że tak długo żyć będę, ale jakoś żyję i daję sobie radę. Mój ojciec zmarł, jak miał sześćdziesiąt dwa lata, bo tak pracował ciężko, to tak sąsiady mówili – on się zapracował. Matka też, miała siedemdziesiąt cztery lata, to trochę dłużej żyła. A ja też nie myślałam, że tak długo będę żyć, ale jakoś... [...]

I ja tak bardzo lubię kwiaty! Tak, mam w doniczkach, w moim pokoju i gdy dostanę na urodziny jakieś, to tak się bardzo cieszę, bo zwykle czekam na urodziny, na te kwiaty, które są moja radość.

Wieczorem siedziałam przy domu, przed domem i grałam na mandolinie te piosenki. Ta jedna piosenka, pamiętam, że tak często grałam, to było o Cyganach. Po naszymu mówione: *Lustig ist das Zigeunerleben* (śmiech). [...]

Ja byłam najmłodsza w rodzinie. Już tylko sama żyję. Z rodziny już wszyscy umarli. Miałam cztery braty i trzy siostry. Nas było osiem dzieci w domu. Jedenaście się urodziło, ale trzy to – moja matka zawsze opowiadała – to byli jeszcze małe tak, przed rokiem, umarli. To nas ośmiu wychowała do dużych. [...]

Powiem teraz jedna piosenka o Warmii [...].

Fot. ze zbiorów Barbary Kazimierzak



Krzysztof D. Szatravski

Dwa wieczory



Pierwszy wieczór, 28 lutego i recital fortepianowy Agnieszki Ufnarz. Pianistka debiutowała niegdyś z olsztyńską orkiestrą, w *Koncertie na 3 fortepiany Mozarta*. Tym razem zaproponowała program solowy, którego konstrukcja jasno zakreśliła obszar jej artystycznych zainteresowań. Z jednej strony wyzwania techniczne i kanoniczne utwory romantycznej literatury wirtuozowskiej, z drugiej pozycje wymagające nie tylko technicznej biegłości, ale również intelektualnej głębi i emocjonalnej swobody. Pianistka wyraźnie próbuje te trzy poziomy równoważyć na sposób zupełnie współczesny.

Taki efekt miało już otwierające program wykonanie *Chaconne* Sofii Gubaiduliny. W chopinowskiej części recitalu, obejmującej *Nokturny Des-dur op. 27 nr 2 i c-moll op. 48 nr 1* oraz *Balladę g-moll op. 23*, dało się już wyraźnie dostrzec tę tendencję. Artystka jakby obawiała się, że zbyt jednoznaczne interpretacje spowodują utratę istotnych treści. Na tym tle dość jednoznacznie, z wyraźnym podtekstem tanecznym zabrzmiała *12. Rapsodia węgierska* Liszta, po czym niezwykle głęboko i dramatycznie ujęte *3 Intermezzy* Johanna Brahmsa sprawiły, że ponownie wróciło uczucie oglądania XIX wiecznych dzieł z punktu widzenia współczesnej wrażliwości.

Potwierdzeniem, iż nie było to wrażenie przypadkowe, było wykonanie *II Sonaty b-moll op. 36* Sergiusza Rachmaninowa, dramatyczne i wzniosłe, jednak nie przez koturnową pozę, lecz przez odważne zmaganie się z wielowymiarową strukturą dzieła. Agnieszka Ufnarz odchodzi od tradycji wykonań śpiewnych, mierząc się z językiem muzyki, dekomponując tradycyjnie ustalony porządek, poszukując głębszego zrozumienia kompozytorskich idei. Czasami może to być trudne, czasami jednak niezmiernie potrzebne. Olsztyńska publiczność wyraźnie stęskniona za repertuarem z wyższej półki, burzliwymi brawami nagrodziła recital.

Artystka próbowała przełamać nastrój, grając na bis *Embraceable You* Georgea Gershwina w wirtuozowskiej aranżacji Earla Wilda. Ale i tu powróciło echo zmagania z wieloznacznością i wielowątkowością



Filharmonia Warmińska-Mazurska
Fot. Arkadiusz Korczin

muzycznej materii. Nie ułatwiał jej tego instrument, który lata świetności dawno ma za sobą. Pianistka wybrała wysłużonego Steinwaya, co – zważywszy jej założenia estetyczne – jest wyborem naturalnym. W muzyce jednak nie zawsze chodzi o to, by było łatwo. Mimo że dziś nie jest to popularne przekonanie, ośmielę się twierdzić, że prawdziwa wartość zaczyna się tam, gdzie kończy się przyjemne spędzanie czasu.

Drugi wieczór, 3 marca, Akademickiej Orkiestry Kameralnej „Rosyjska Kamerata” pod dykcją Andrieja Krushkova to wieczór muzyki rosyjskiej, perfekcyjnie dobrany program obejmujący utwory trzech kompozytorów, a każdy ukazujący muzykę rosyjską z innej perspektywy. W pierwszej części Antona Arenskiego *Wariacje na temat Czajkowskiego*, estetycznie wyczelowane w duchu salonowej elegancji, oraz Sergeia Levina *Koncert na bajan, fortepian i smyczki*, będący interesującym przykładem ponowoczesności we współczesnej muzyce rosyjskiej, stapiający odległe kulturowo i historycznie elementy. Soliści Olga Orlova na Steinwayu oraz Maxim Salnikov na bajanie w wirtuozowskim stylu zmierzali się z niejednorodną strukturą dzieła. Ten trudny z punktu widzenia wykonawców koncert jest w istocie popisem muzycznej erudycji a zarazem próbą konkurowania z muzyką popularną.

I w końcu dwie odsłony wielkiego Dymitra Szostakowicza, które wskazują, jak wiele w dziełach tego kompozytora można jeszcze odkryć. Wirtuozowskie *Preludium i scherzo na smyczki* to silne odniesienie do europejskiej tradycji i okazja dla orkiestry, by rozwinąć pełne spektrum brzmieniowe oparte na precyzyjnej artykulacji. Do tego momentu wieczór miał charakter popisowy, zamykająca jednak program *Symfonia kameralna „Pamięci ofiar faszyzmu i wojny”* otworzyła głębię moralnego dramatu, rozpisanego na fenomenalną narrację polifoniczną. Naturalną muzykalnością w solowych fragmentach zachwycała Lena Czerkaszyna, koncertmistrzyni orkiestry. Znakomite wykonanie *Symfonii kameralnej* pozostanie w pamięci na długo.

Maria Jenny Burniewicz

Moja muza

Imię i pory roku
Moja muza ma na imię
mmmmmm, co można przetłumaczyć
na: przenikanie; a na drugie ma wwwww,
co znaczyć może: wieczne odnawianie się.

Jest jak ciepły dzień-zwiastun wiosny.
Chce się wtedy iść w słońcu, patrząc na pierwsze
przeniknięte światłem liście i kwiaty – tak intrygujące,
że czynią to, co baśniowo-poetycki drozd – przenoszą do
krainy tajemnicy. Nie chce się wracać do mieszkania – za
dużo tam tego, co już było.

Latem muza podobna jest do rozgrzanego, falującego powietrza.
Szuka saksofonów i gorących nut, które czasem eksplodują
hiszpańskim temperamentem, a czasem, o dziwo, wycofują się na
leniwe polany nasyconych lwów. Przy nocnych ogniskach miło się
wtedy śpiewa poezję siedemnastowiecznego G. M. Hopkins'a –
„Posyłam pocałunek gwiazdom...”.

Jesień i zima są okresami bardzo pracowitymi dla muz.
Wciskają się wszystkimi szparkami czasu – między jednym a drugim
telefonem, gdy kończę tłumaczyć stronę, gdy się zapatrzę, jak kot
się myje, gdy ku chmurom wyciągam szyję – mogłabym tak wymie-
niać do rana, gdzie się ta muza wciska kochana.

Szuflada i dziedziczenie
Nie bierzemy się znikąd: wróżka-dziadek rzucił mi światło na
słowo, a wróżka-babcia pozwoliła mi odziedziczyć budowę
swojego muzycznego ucha.

Więc w tak zwanej szufladzie mam już wiele utworów.
A oto ich działy: Piosenki w pieluszkach,
Piosenki dla dzieci, Piosenki dla teatru
Eurymia i dla teatru Harmonia,
Piosenki do słów
wspaniałych poetów

Zapach

Trzy lata temu odkryłam zapach irysów niebieskich i biało-żółtych.
Trzeba je wstawić do wazonu, w zacisznej części mieszkania. W miej-
scu tym unoszą się wówczas łagodne, kusząco-falujące nuty przycią-
gania, brzmiące w okolicy dźwięku d² albo akordu h-moll.
I pomyśleć, że to unosi się w ogrodzie, nad ich kępą...

Nastrój

Są takie spotkania z ludźmi, gdy każdy wnosi swoje ciekawe myśli,
opowiada się o doświadczeniach w pracy, zachwyca się ogrodem, pije
się pyszną herbatę. Miejsce spotkania dostaje skrzydeł, robi się od-
świętnie i ten nastrój brzmi jeszcze długo po wyjeździe ludzi.

Charakter

To zespół cech wyróżniających daną osobę wśród innych. Powstające
utwory noszą cechy swoich twórców, niezależnie od ich formatu.
Nigdy nie będzie drugiego Bacha, Chopina, czy – schodząc w piosen-
ki – drugiego Niemena czy Demarczyk. Twórcę można jednak rozpo-
znać po tych jego własnych szczególnych cechach: po interwałach,
motywach rytmicznych, chętnie używanych tonacjach czy wytwa-
rzanych nastrojach. Szczególne moje ulubienie to rozpoznawanie
pianistów, np. Lang Lang – unosi nad ziemię i płynie, S. Richter daje
znak tego, co obiektywne, a Moździerz gra po prostu zdrowo, tu i te-
raz! Zarówno tworzenie utworów jak i ich odtwarzanie zawsze będzie
niepowtarzalne.

Śpiewanie, śpiewna mowa

Śpiewający pozwalają nam delektować się tembrem swych głosów.
To barwa głosu. (Jakże wiele wspólnych określeń ma muzyka i malar-
stwo: barwa, tony, kompozycja, przestrzeń). Tembr to bardzo tajem-
niczy element osobowości człowieka. Z pewnością związany z jego
fizyczną budową. Jakże jednak wyraźnie jest odczytywany jako po-
darunek od losu. Ktoś ma piękną, ciekawą, oryginalną barwę głosu,
a większość z nas ma co prawda niepowtarzalną, jednakże nie aż tak
nadmierzającą barwę.

Śpiew jest przestrzenny, mowa – docelowa.

Jeśli jest śpiewna, wydaje się nam miłsza. Nagrania automatycznych
sekretarek są trudniejsze do strawienia. Thorwald Dethlefsen napi-
sał, że śpiew ma związek z żołądkiem i śledzioną. Co na to śpiewacy?
Ja podśpiewuję sobie codziennie i mam się dobrze.
Jednak mowa wykładowcy, aby dotrzeć do umysłu, musi być nie-
co schłodzona. Dobry aktor znajduje harmonię między kierunkami
umysł-uczucie. Dobry nauczyciel, dobry rodzic, a nawet jeden czło-
wiek do drugiego przemówią z pewnością skuteczniej, jeśli będą mó-
wić mądre rzeczy na wewnętrznej fali ciepłych uczuć.

Na koniec Armin Husemann. Ten opisał genialną obserwację, że za-
równo mowa jak i śpiew powstają wtedy, gdy wydychamy, czyli gdy
pozbywamy się tego, co mogłoby nas zatruć, gdyby w nas pozostało.
W krtani tworzy się nowe życie – mowa i śpiew.

Barbara Kazimierczak

Historia mówiona, czyli filozofia jako plotki i przeinaczenia

Ludzie różne rzeczy mówią, a wśród tych różności trafi się czasem coś niegłupiego. To podobno jest filozofia. Na powiedzeniu czegoś jednak się nie skończy. Dopiero się zaczyna. Zaraz się zlecą kruki, wrony i karierowicze. Rozdziobią, powypisują, nawygadują komentarze, przedmowy, obmowy, wykładnie, interpretacje, dekonstrukcje, dorabianie gęby. Dowiesz się, że to, co powiedziałeś, co innego znaczyło, niż, autorze, miałeś na myśli. Jeśli już umarłeś, twoja strata, nie wybronisz się. Jeżeli zaś żyjesz – pora umierać.

Powiesz na przykład, normalnie, „daj, acj ja pobruszę, a ty poczujaj”¹, gdy już nie możesz patrzeć na fuszerkę, bo jak zwykle, trzeba wszystko samemu poprawiać. I jeśli tylko ktoś zapisał twoje słowa, spokoju nie zaznasz, bo powtarzać je będą do końca świata. Strach się odezwać. A i tak nie zrozumieli, o co chodziło.

Mówisz, że szlag cię trafia, a historycy zanotują, że myśliciel dał wyraz głębokiej bojaźni, dotyczącej istoty rozpaczy w obliczu przejmującej trwogi dna egzystencji. I weź, gadaj z takimi.

Najgorzej jednak mają filozofowie. Biedaczyna Sokrates powiedział to i owo, coś tam odburknął, że wie, że nic nie wie, bo się chłopina od gawiedzi opędzić nie mógł. Już niespełna dwa i pół tysiąca lat mu to wypominają. Czy mógł przewidzieć, że niepozorne „wiem, że nic nie wiem” przyniesie mu sławę i czy tej sławy chciał? Kto to wie?

Sokrates zginął. Platon odszedł. Arystoteles zmarł. Kant też nie żyje. Pomierali, jakby filozofia jakąś zarazą była. Pomówienia

ich przerosły. Historia, ta złudna ludzka pamięć, mówiona, pisana, zmieniana, pochłonęła ich życie i dzieło, nie pytając o zgodę, prawa autorskie ani chęci. Jak owady w żywicy zastygli w historii, często w najmniej oczekiwanym momencie, z głupią miną, w dziwnej pozie, wbrew sobie. Zmuszeni słuchać, co o nich się mówi, pozbawieni prawa sprzeciwu, przeklinają dzień, kiedy zapamiętano ich słowa.

Niektórzy próbowali bronić się przed machiną historii mówionej. Zdarzyło się, że Martin Heidegger pod koniec swego życia trafił na wykład uniwersytecki, którego tematem były akurat jego koncepcje. Filozof nie wytrzymał jednak długo tego, co słyszał z katedry, i postanowił zabrać głos, na co wykładowca zapytał: „Ależ kim pan jest, żeby tu dyskutować?”. „Jestem Heidegger i chciałem powiedzieć prawdę!”.

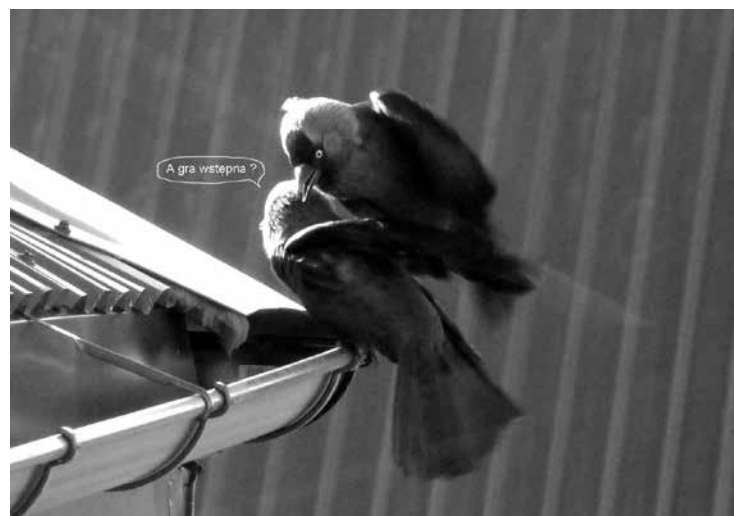
Czy warto zapisać się na kartach historii? Lepiej przemyśleć tysiąc razy, nim się zostanie sławnym filozofem. Niejeden przewraca się w grobie, słysząc, co o nim opowiadają. Co drugi chętnie by z tego grobu powstał i przemówił do rozsądku swoim apologetom. Co trzeci woli, by raz na zawsze o nim zapomniano w imię spokoju. Współczesnym zazdroszczą ustawy o ochronie danych osobowych.

Na początku było słowo, a później tania paplanina załała ziemię. Lepiej nie tworzyć historii, lepiej już nic nie mówić.

¹ Jest to, jeśli wierzyć historii, pierwsze zdanie zapisane w języku polskim (*Księga henrykowska*, koniec XIII w.), tłumaczone jako „daj, niech ja pomieję w żarnach, a ty odpocznij” lub „... a Ty podziwiaj”.



Fotokomiks – Elwira Iwuszczyńska



Ależ dlaczegoż... Muzyka burzy obyczaje?

Gdybym mogła zostać filozoficznym teoretykiem funkcjonowania Wszechświata, chyba większość moich teorii byłaby pesymistyczna z nutą abstrakcji. Na każdy logiczny argument można przecież znaleźć kontrę, która – chociaż brzmi idiotycznie – po dokładnym zgłębieniu zaczyna nabierać głębszego sensu.

Mądrość ludowa rzecz, że muzyka łagodzi obyczaje. Szczerze napisawszy, wierzę, że jest zupełnie odwrotnie. Podejrzewam, że u zarania dziejów podłożem wszystkich konfliktów były odmienne gusta stron przeciwnych: Persowie nie lubili fletni Pana, Krzyżacy gardzili *Bogurodzicą*, zaś Hiszpanie nie umieli zrozumieć poczucia rytmu Majów. Trudno w to uwierzyć, ale głęboko wierzę, że tak mogło być.

Niestety z upływem lat i rozwojem wszelkiej technologii spory te nie złagodniały, a zaczęły zataczać coraz szersze i bardziej regionalne kręgi. Młode zwolenniczki „Comy” mogłyby oczy wydrapać fankom Justina Biebera – przecież, jak wiadomo, one czują świat bardziej. Zwolennicy hip hopu do dzisiaj za każdym mężczyzną z długimi włosami wołają „Bradas!”. Starsi skracają się na dźwięk dubstepu. Nie wspominając już ogólnej krucjacie przeciwko disco polo. Wszyscy ci ludzie zawsze czują się ponad innymi tylko z powodu kilku nut i prostych dźwięków, które z jakiegoś powodu trafiają do nich bardziej. Każdy, kto zerknie w ten tekst, pokręci głową niezadowolony, mówiąc sobie w głowie: „Ja taki w ogóle nie jestem!”. Niestety – też tak myślałam. Zapierałam się, że ja, że skądże, że przecież takiej rozległej muzyki słucham, że wszystko mogę polubić, zaś moja tolerancja powinna być wykładana w szkołach. Wykonałam jednak rachunek

sumienia, bardzo szczegółowy i cóż... Musiałam dokonać szybkiego odbrązowienia swojej osoby. Zdarzyło mi się w życiu (nie raz, nie dwa!) spojrzeć na kogoś krzywo, jeśli ten wymienił konkretny utwór lub zespół na swojej liście ulubieńców. Potencjalnych mężczyzn, którzy pojawiali się na mojej drodze, również potrafiłam szybko skreślić, jeśli wymienili pewien gatunek muzyczny. Brzmi dosyć okrutnie, ale lepiej zdawać sobie sprawę ze wszystkich swoich wad, niż udawać świętego. Wierzę zawsze w to, że jeśli coś mnie trapi lub zastanawia, to nie jestem jedyną osobą na świecie z takimi myślami. Z pewnością te kilka procent ludzkości ma podobny problem, co ja. Przyjmując, że mamy 7 miliardów mieszkańców Ziemi i nawet tylko jeden malutki procencik myśli moim tokiem, to daje nam już 70 milionów ludzi! Koncentrując to wszystko w samej tylko Europie, wydaje mi się, że rząd Unii Europejskiej mógłby – a wręcz powinien! – podjąć pewne kroki, aby rozwiązać kryzys nienawiści muzycznej.

Tylko jak właściwie można rozwiązać taki problem? Zakaz słuchania, grania i odtwarzania odpadłby w przedbiegach. Zbyt mocno muzyka jest zakorzeniona w naszej psychice. Rytm zawsze wygra, choćby miał być tylko waleniem kijem w rurę. Rozwiązanie może być tylko jedno – wspólny wróg wszystkich. Monthly Python opowiadał o najśmieszniejszym żarcie, który zabijał wszystkich śmiechem. Musimy wykorzystać tę taktykę. Stworzmy więc Najgorszą Piosenkę Świata! Pytacie: dlaczego akurat najgorszą? Prawda jest taka, że nic nie łączy ludzi tak dobrze, jak wspólny wróg. To zadziała ponad wszystkimi podziałami. Już wyobrażam sobie, jak skutecznie zadziałałby ten mały chwyt: młodociane nastolatki zawsze miałyby wspólny temat, metalowcy byłiby wolni od upierdliwych dresów, młodzi i starzy zgodnie kiwający głową nad dramatycznymi dźwiękami jednego utworu. Pokój na świecie gwarantowany, zgoda i zrozumienie opanowałyby cały świat.

Przyjdzie jeszcze czas pokoju na świecie – to jednak może zająć trochę czasu. Jeszcze parę lat musimy wytrzymać w powstrzymaniu tej abstrakcyjnej muzycznej niechęci. Gdy jednak ten dzień przyjdzie, wszyscy będziemy świętować, a radości nie będzie końca.

Przynajmniej ja w to wierzę. Cóż – tak przynajmniej by było w mojej filozoficznej teorii funkcjonowania Wszechświata.

Elżbieta Frąckowiak – rocznik '89. Ukończyła studia dziennikarskie na UWM-ie. Urodzona w Olsztynie, od ponad roku mieszka w Warszawie ze swoim chłopakiem oraz dwoma kotami. Fanka rękodzieła maści wszelakiej. Makijażystka z zacięciem humanistycznym. W wolnych chwilach prowadzi bloga kunadomowa.blogspot.com.



OLSZTYN W OBRAZKACH

Paulina Michalska

uczennica Państwowego Liceum Plastycznego w Olsztynie

laureatka konkursu na historię obrazkową „Olsztyn w obrazkach”, zorganizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Olsztynie

